



CHO, KANDYDATKA NA MISS KARNAWAŁU

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 7. II.
1960 r.
Nr 5 (101)
Cena 1 zł

odgłosy



FYMI KIELISZKAMI PILIŚ-
MY ZDROWIE TYCH
WSZYSTKICH, KTÓRZY
NAM DOBRZE ZYCZYLI Z
OKAZJI SETNEGO NUME-
RU.



TAK SOBIE WYOBRAZAMY
ŁÓDź PO BALU PRASY



ANDRZEJ BRYCHT

BIEDNE, STARE DZIECI

(rzec o więźniach)

MIECZYSLAW VOIT

LONDYN BEZ FORSY

Szukajcie a znajdziecie obie rzeczy... w następnym numerze!

Nasza szkółka

PI X TELE- WIZOR

czyli
 **przyczynek
do rodzimej
„niemożności“**

ANTONI CZECHOW

Do góry po drabinie

Prowincjonalny radca Dolbonosow, bawiąc pewnego razu w sprawach służbowych w Pitrze, trafił przypadkowo na wieczór do księża Fingalowa. Na wieczorze tym, między innymi ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, spotkał studenta-prawnika Szczepotkina, który pięć lat temu był korepetytorem jego dzieci. Znajomych na tym wieczorze nie miał i z nudów podszedł do Szczepotkina.

— Pan tu... tego... jakże pan tutaj trafił? — zapytał ziewając w kula.

— Tak samo, jak i pan...
— To jest, dajmy na to, nie tak, jak ja... — nachmurzył się Dolbonosow lustrując Szczepotkina.

Hm... tego jak pańskie sprawy?

— Tak sobie... Ukończyłem uniwersytet i pracuję jako urzędnik do specjalnych poleceń u Podokonnikowa.

— Tak? To w pierwszych latach pracy nie kiepsko... Ale... ee... wybaczy pan niedyskretnie pytanie, ile daje panu to stanowisko?

— Osiemset rubli.
— Phi!... Na tytoń nie starczy... — mruknął Dolbonosow zno-

czywiście... — przerwał Dolbonosow przy czym po twarzy rozlało mu się coś w rodzaju światłości.

— Nawiasem mówiąc, mój drogi, w jaki sposób poznał się pan z gospodarzem tego domu?

— Bardzo prosto — obojętnie odpowiedział Szczepotkin. — Spotkałem się z nim u ministra Łodkina...

wielce szanowny Iwanie Piotrowiczu...

— Piotr Iwanycz...

— To jest Piotrze Iwanycz... A ja, czy wie pan, patrzę teraz i widzę, że to znajoma mi twarz... W jednej sekundzie poznałem... Ano, myślę sobie, zaproszę go do siebie na obiad... Hehe... Staruszkowi, myślę, pewnie nie odmówi! Hotel „Europa“, pokój trzydziści trzy... od pierwszej do szóstej...

Kłótnia z żoną

— Niech was diabli wezmą! Przyjdiesz z pracy do domu głodny jak pies, a oni diabli wiedzą czym karmią! I nawet uwagi nie można zrobić! Zrobisz uwagę, to zaraz płacz, łzy! Niech będę trzykrotnie przeklęty za to, że się ożeniłem!

Powiedziawszy to mąż rzucił na talerz łyżkę, zerwał się od stołu i

(Dokończenie na str. 11)

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN CZECHOWA

wu wpadając w ton pobłażliwo-protekcjonalny.

— Oczywiście, na dostatnie życie w Petersburgu tego nie wystarczy, ale oprócz tego jestem sekretarzem w zarządzie Ugaro-Deboszyrskiej kolei, to daje mi półtora tysiąca...

— Taak, w takim wypadku, o-

— Pan... bywa u Łodkina? — wybałuszyl oczy Dolbonosow,

— Bardzo często... Jestem żoną z jego siostrzenicą...

— Z siostrzenicą? Hm... Niech pan powie... Ja, czy wie pan... tego... Zawsze życzyłem panu... prorokowałem świetną przyszłość,

Przykro mi Szanowny Czytelniku, że powracam do używanej w ubiegłym tygodniu beczki, ale mam kompleks. Kompleks nieposiadania kompleksu prowincji. Inni też oczywiście mówią, że go nie mają, ale u mnie to zupełnie co innego: ja daję na to słowo honoru!

Na przykład uważam (p. Koprowski już się ze mną rozprawił), że Łódź nie musi być literackim centrum twórczym. Bardzo by to było miło, gdyby owym centrum była, ale łódzkiemu czytelnikowi książek może zupełnie być obojętne, czy jego ulubiony autor ustawił sobie

biurko w Łodzi, w Warszawie, w Galkówku czy Krakowie. Nawet mniemam, że ów Czytelnik niekoniecznie marzy o tym, żeby książki traktowały koniecznie o Łodzi.

Wyznanie swoje pociągnę dalej. Przyznam się, że nie spędza mi snu z oczu fakt,

iż Hemingway nie jest Polakiem. Nie to, słowo daję, jego prozie nie ujmuje, choć rzecz jasna, z kwestiami narodowymi w literaturze to inna już para kaloszy niż z regionalnymi.

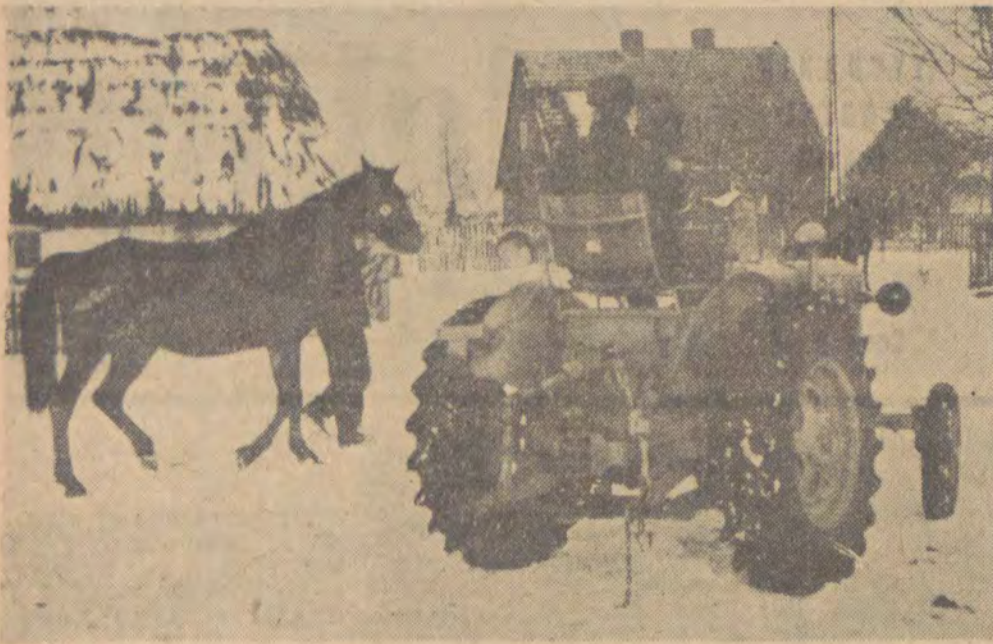
Wspominam o tym tylko po to, żeby się samookreślić, nim podejmę temat właści-

wy: łódzkiego studium telewizyjnego. Jeśli mniemam, że może ono i powinno spełniać o wiele większą rolę niż spełnia, to nie dlatego, że Łódź koniecznie, za wszelką cenę musi być polskimi Atenami, że do czegośkolwiek to jest Polsce potrzebne, że bez tego nam

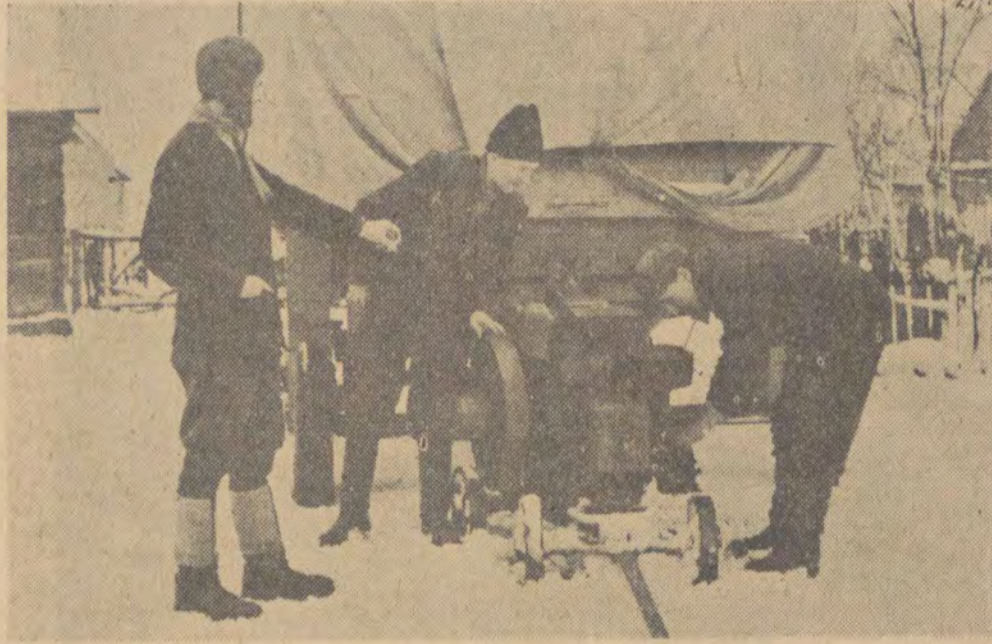
Piołkowska zgarbaciele, a włókniarze rozpiją się z rozpaczą. Nie, Łódź nie jest i nie musi. Chodzi zaś o pewne proste fakty.

Fakt I. Blisko 80 proc. programu telewizyjnego ogólnopolskiego nadaje War-

(Dokończenie na str. 2)



Konkurencja — konie i traktor



Przewodniczący PGRN Teodor Dorozik sprawdza sprzęt.

Fot. Henryk Kozakow

Patrz artykuł na str. 5 „SZKAPY KARMIONE SŁONINĄ”

Pi x Telewizor

(Dokończenie ze str. 1)

szawa, dysponująca jednym studio. Jest ono przeciętne ponad wszelkie teoretycznie dopuszczalne standardy. Ktokolwiek bije w program telewizyjny — a jest to modny beben — dyrekcja TV odpowiada niezmiennie, że winien jest tu fakt, iż cały prawie program idzie z jednego studia, co jest rzeczą niespotykaną w świecie i zgola cudowna.

Fakt II. Telewizja łódzka dysponuje większym i lepiej wyposażonym studio niż Warszawa, mimo to jednak jej udział w programie ogólnopolskim jest minimalny. W Łodzi jest 70 proc. (pi razy) więcej telewizorów niż w Warszawie.

Wynikałoby stąd logiczny wniosek, że droga do rozładowania centrali jest uaktywnienie Łodzi w programie ogólnopolskim. Przerzucenie na Łódź np. 50 proc. ogólnopolskiego programu.

Dyrekcja Centralna TV odpowiada, że to niemożliwe. Stolica jest bowiem centrum dziennikarskim, literackim, plastycznym, aktorskim. Tam też znajduje się gros reżyserów. Telewizja absorbuje całe mnóstwo ludzi. Wymaga umiejętności najwyższej jakości. Łódź nie ma takich możliwości. Nie może być równorzędnym partnerem programotwórczym. Zresztą, na całym świecie dzieje się tak, że prawie cały program TV przygotowuje stolica.

(Wyjątkiem jest tu tylko NRF, gdzie nie ma jednego dominującego kulturalnie centrum miejskiego). Taka już ma być specyfika telewizji.

Nie twierdzą, że Łódź może konkurencyjnie z Warszawą, tworzyć np. 50 procent programu telewizyjnego własnymi siłami i talentami literatów, dziennikarzy, aktorów, reżyserów i plastyków. Nie mniemam też, iż polski program telewizyjny z zasady nie powinien być tworzony przez centralny ośrodek. Ale uważam, że skoro drugie studio jest dla warszawskiej telewizji kwestią życia i śmierci, a o 120 km obok stoi sobie właśnie drugie studio, to projekt rozwiązania dylematu nasuwa się sam przez się.

Zamieszkali w Łodzi reprezentanci zawodów przydatnych przy robieniu programu telewizyjnego mogą dać z siebie więcej niż dają aktualnie zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym. Takie jest moje prywatne zdanie. Nie to jednak

stanowi lekarstwo zasadnicze. Warszawa może robić program w części realizowany w Łodzi.

Oto szczegóły propozycji: Warszawa zalewając gros pracy redakcyjnej, zamawia teksty, projekty scenograficzne i nawet muzykę u stołecznych twórców. Potem odsyła gotowe produkty redakcyjne. Realizuje je Łódź. A ma ona tę możliwość dzięki istnieniu w Łodzi wytwórni filmów.

W Łodzi siedzą częstokroć nudząc się w „Grand Hotelu” tabuny reżyserów, muzyków, aktorów, scenografów itd. W każdym razie towarzyszywo to przepływa przez nasze miasto licznie. Cóż więc prostszego, jak do zajęć filmowych dolożyć tym gościnnie, ale wciąż tu siedzącym aktorom (nieznającym zresztą) reżyserom (też niegorszym od teletwizyjnych etatowców) i consortes — telewizyjną miłą sercu i kieszeni „chałturę”.

Jeśli ktoś odpowie, że to nie takie proste, bo ludzie ci przypliwają, odpływiają, jak ich łapać? — odpowiem, że tak jak wytwórnia filmowa sobie radzi, tak i telewizja (potęga in potentiam większa od filmu) może sprowadzać sobie twórców. Przynajmniej, jeśli to drugie studio jest dla programu telewizyjnego sprawą życia i śmierci.

Mógłbym tu nawet na wpół demagogicznie zauważyć, że czymże jest te 120 km w dobie lotów kosmicznych? Tyle, że propozycje wydają mi się tak realne i oczywiste, że wyjątkowo mogę chyba zrezygnować ze stwierdzeń demagogicznych.

Widzę już oczyma duszy wyjaśnienia, że to niemożliwe, bo łaczą, bo hotel, bo trzech pokoi brak i jednego krzesła. Z góry więc proszę o niezawracanie głowy. Kwestii hotelu i krzesła i tak felietonu nie poświęcę.

Wbrew najprostszej logice łódzkiej, najlensze w Polsce studio, jest nie w pełni wykorzystane, podczas gdy stołeczne uprawia taniec na linie upiupający (jeśli to prawda) program TV — oto jeden z ciekawszych przykładów do problemu naszej rodzimej „niemożności”. Niemożnościowa niemoc polega na nadawaniu kosmicznych wymiarów każdej potocznej życiowej trudności. Robienie z przyrodzonego rowu, który i kulawy mógłby przeskoczyć, co najmniej Oceanu Spokojnego.

Postulat brzmi: telewizyjny ożenek Warszawy i Łodzi. Łódź drugim centrum telewizyjnym. Nie w sensie „redakcyjnym” i współstolicy XI Muzy — w sensie jak najbardziej użytkowym. I nie dlatego, że Łódź, choć to przyjemne. Dlatego przede wszystkim, że logiczne.

Artykułem „Detektywi i prestidigitatorzy...” („Ogłosy” nr 100) Jerzy Jasiński otworzył dyskusję na wielce istotny i aktualny temat. Rozumiem i podzielam intencję autora o odczuciu lekarza z funkcji „detektywistycznych”, o zasadność i autentyczność tzw. „zwolnień lekarskich”, o wytworzenie takich warunków, w których nagminne, pozachorobowe a istotne powody „zwolnień” rozpatrywałby sam pracodawca. Podzielając ową troskę i nie bagatelizując trudności lekarza muszę stanąć wobec rozważań J. Jasińskiego w pewnej opozycji.

O ile dobrze wyczytałem, mój „przedmówca” stwierdza pewną lukę w naszym prawie nie pozwalającą pracodawcy uwzględnić wszystkich istotnych powodów nieobecności pozachorobowej, ergo sugeruje jakąś nowelizację obowiązujących w tej mierze przepisów. W moim rozumieniu ta ewentualna nowelizacja ma dotyczyć normy i praktyki liberalizować.

Wyznam szczerze, iż nie chciałbym być w skórze „pracodawcy” na wypadek takiej nowelizacji i liberalizacji. Związę bowiem poważne obawy, że spowodowałyby ona powszechność i nagminność żądań „zwolnień” z pozachorobowych powodów. Jakież nowe, szczegółowe przepisy rozszerzające listę „istotnych powodów” musiałyby wywołać skutki niepożądane i społecznie i ekonomicznie.

Powiedzmy sobie otwarcie, że dotychczas w sprawie przez nas dyskutowanej, indywidualna postawa lekarza działała jak hamulec, ponieważ jest on zdolny z racji bliskiego, intymnego kontaktu poznać prawdziwe motywy pseudopacjenta opuszczającego pracę, ocenić ich

wagę i wiarygodność. Lekarz ma poza tym większe o niż kto inny możliwości perswazyjne i w ogóle pseudopacjent — pomijając sporadyczne wypadki „siekiernowe” — liczy się z lekarzem. Natomiast pracodawca zaabsorbowany tysiącem innych spraw ma siłą rzeczy mniejszą możliwość weryfikowania oświadczeń pracownika. Współdziałając nawet z jakimś ciałem społeczno-opiniotwórczym kierownik zakładu musiałby się opierać na jakiejś dokumentacji. Po-

JERZY TUDREJ

Nie tylko z punktu widzenia lekarza

wstaje pytanie, kto ma ją wystawić i weryfikować, aby była dostatecznie mocna w sensie prawnym.

Wyrażając mimochodem tę wątpliwość nie chcę powiedzieć, iż quasi-pacjent liczy się z lekarzem, zaś nie liczy się z pracodawcą, i że rzeczywiście trochę detektywistyczna i trochę wychowawcza funkcja lekarza ma u nas ciężać aż do końca świata. Boję się tylko, że w wyniku funkcjonowania jakiejś drugiej „osoby urzędowej”, władnej zwalniać z pracy dla istotnych powodów pozachorobowych liczba nieprzepracowanych dniówek stać by się mogła w skali państwowej zbyt wielką i szkodliwą.

Dlatego sądzę, iż dyskusyjny temat powinniśmy rozpatrywać nie tylko z punktu widzenia lekarza, lecz w aspekcie szerszym, uwzględniającym czynniki społeczne, ekonomiczne a nawet polityczne.

Wracając do stwierdzonej przez Jerzego Jasińskiego lu ki prawnej, pragnę zwrócić uwagę, iż cytowane przepisy o porządku i dyscyplinie

pracowników zawierają następującą formułę: „Pracownik może być zwolniony z pracy na czas niezbędny dla załatwienia ważnych spraw osobistych lub rodzinnych”. Istnieją więc dostateczne kompetencje pracodawcy w tej mierze. Ponadto dość jasne światło na omawiane przez nas kwestie rzucają przepisy zarządzenia nr 5. Prezesa Rady Ministrów z dnia 12. I. 1960 w sprawie zaliczania niektórych okresów usprawiedliwionej nieobecności w pracy do dni prze-

pracowanych, wymaganych do uzyskania zasiłku rodzinnego (Monitor Polski Nr 4, poz. 15). Z treści tego zarządzenia, którego nie mógł znać J. Jasiński pisząc swój artykuł, wynika m.in. że nieobecność pracownika może być usprawiedliwiona przez kierownika zakładu, o ile nieobecność w pracy miała związek z koniecznością załatwienia ważnych, nagłych spraw pracownika i jeżeli sprawy te wymagają jego bezpośredniego udziału (§ 1, pkt. 9 cyt. zarządzenia).

J. Jasiński pisze, że „poza tymi nadzwyczajnymi wydarzeniami (narodziny, ślub, zgon etc. — J. T.) istnieje w życiu codziennym wiele okoliczności, w których może należałoby zwolnić człowieka pracy na jeden — dwa dni, aby załatwić swoje sprawy (np. opieka nad zdrowym dzieckiem, zwózka węgla, kartofli, wyjazd do chorego członka rodziny w innych miejscowościach, malowanie w domu, remont etc.)”. Podkreśla przy tym jednocześnie, że największy ciężar gatunkowy posiadają sprawy opieki nad dzie-

ciem. Niewątpliwie takie stanowisko wypływa z codziennych, stałych obserwacji.

Odnoszę jednak wrażenie, iż patrzenie na całość tych spraw przez pryzmat czynności lekarza zaciemnia do pewnego stopnia istotę sprawy. Istotą jej będzie chyba autorytatywne wyjaśnienie odpowiednich władz, czy i w jaki sposób poruszone okoliczności życiowe podpadają pod przepis pkt. 1, § 4 zasad usprawiedliwienia nieobecności w pracy.

Chodzi tu więc o ewentualną interpretację rozszerzającą. W życiu bowiem już tak bywa, że technika legislacyjna ujmuje pewne istotne problemy niekiedy w sposób ramowy, nawet zbyt zwężony. Tu sądzę, tkwi m.in. źródło rozważań J. Jasińskiego. Być może pewne interpretacje rozszerzające dałyby więcej precyzji, jak ewentualne wyjaśnienia powołanych do tego czynników. Osobiście sądzę, że nie powinno być sytuacji, w której zasady zawarte w uchwale Rady Ministrów nie miałyby zastosowania czy też wykazywałyby merytoryczne braki.

Rekapitulując, wydaje się, że czas już najwyższy, aby lekarz nie zajmował się sprawami malowania, czy przeprowadzki domniemanego pacjenta. Ale czas również i na to, aby pracodawca dokładnie wiedział, jak ma postąpić w konkretnym, życiowym przypadku i aby uczciwy człowiek pracy, który zmuszony jest do jej opuszczenia z ważnych, choć pozachorobowych przyczyn, mógł sprawę zwolnienia załatwić w sposób rzetelny i zgodny z prawem.

Przepisy w sprawie przestrzegania porządku i dyscypliny pracy — uchwała Nr 337 Rady Ministrów z dnia 16. VIII. 1957. Monitor Polski nr 70 poz. 432 wraz z załącznikiem, obejmującym wytyczne dla opracowania regulaminów pracy w uposażonych przedsiębiorstwach.

ulatwienie w uzupełnianiu braków.

Przedstawione wyżej metody zbierania obrazują w dużym skrócie, w jaki sposób filatelista dochodzi z czasem — kosztem dużej cierpliwości, pracy, a częstokroć i wyrzeczeń — do posiadania zbioru.

Nie przeczę, że filatelista posiadający większe możliwości finansowe może łatwiej i szybciej zapłacić luki i posiadać rzadkości. Ale jeśli możliwości tych nie posiada może również przy minimalnych lub żadnych nakładach stworzyć ze znaczków, które — indywidualnie biorąc — nie przedstawiają większej wartości, ciekawy zbiór tematyczny lub problemowy, który na wystawie filatelistycznej może być bardzo wysoko punktowany. Liczy się tu przede wszystkim wykazana wiedza, pomysłowość i układ zbioru, oraz włożony wkład pracy.

Filateliści w Polsce są zrzeszeni w Polskim Związku Filatelistów. Członkowie Oddziału Łódzkiego spotykają się w Łódzkim Domu Kultury przy

ul. Traugutta, w każdy poniedziałek w godz. 17—20. Gdyby zechciał Pan, Redaktorze, tam zajrzeć, spotkałby Pan przede wszystkim urzędników, robotników, wojskowych, studentów a więc ludzi o przeciwnych dochodach, którzy są takimi samymi normalnymi ludźmi jak miliony pozostałych, mają swe codzienne kłopoty i troski, tyle tylko, że łączy ich „wspólne „hobby” — umiłowanie skrawka zadrucowanego papieru, który daje im radość i wytchnienie w wolnych chwilach.

Może te wyjaśnienia pozwolą spojrzeć na nich pod właściwym kątem i we właściwym wymiarze.

Pomijam tu wielkie wartości dydaktyczne tkwiące w filatelistyce, o społecznych zadaniach wspominałem, lecz zagadnienia te — na ogół niedoceniane — wymagałyby odrębnego omówienia.

Łączę wyrazy poważania —

J. T.

(Nazwisko i adres znane Redakcji)

Korespondencja

Szanowny Panie Redaktorze!

W świątecznym numerze „Ogłosów” przeczytałem z zainteresowaniem artykuł Andrzeja Zybiera „Zza kulis marzeń stulecia”. Jako długoletni i zapalony filatelista nie mogę się zgodzić z zawartym w nim stwierdzeniem, że filatelistyka jest zajęciem ludzi bogatych.

Ponieważ pogląd ten, wypływający z komitetnej nieznajomości istoty filatelistyki, wyrządził jej wiele szkody, a co gorsze utrzymuje się jeszcze do dziś u wielu ludzi nie mających o niej pojęcia, pragnąłbym wyjaśnić, że

1) filatelista przede wszystkim znaćki zbiera z dawnej i bieżącej korespondencji własnej, krewnych i znajomych, zbiera ją dla niego również jego bliscy i znajomi; znaczki zebrane w ten sposób nie kosztują go nic.

2) filatelista również znaczki kupuje (ale nie musi), o ile posiada możliwości finansowe;

jeśli przeznacza na ten cel swe oszczędności zamiast np. na kupno motocykla czy telewizora, to jest to indywidualna sprawa supremacji tych czy innych ludzkich zainteresowań, jeśli zaś przeznacza swój czas i pieniądze na znaczki zamiast na wódkę to jest chyba zjawiskiem ze wszech miar pozytywnym (mogę Pana zapewnić Redaktorze, że picie wódki jest znacznie kosztowniejsze, a czyż ludzi pijących uważa się u nas za bogatych?).

3) filatelista prowadzi między sobą wymianę, która rozszerza możliwości w kompletowaniu zbioru bez uszczuplenia budżetu rodzinnego; jest przy tym rzeczą zupełnie obywatelną, czy wymiana ta jest bezpośrednią — znaczki za znaczki, czy też pośrednią — poprzez sprzedaż znaczków zbędnych i kupno w zamian za tę sumę brakujących; ważny natomiast jest cel wymiany:

2 ogłoszy

BELFER

KAROL BADZIAK

„Koluszkowskie“ sklepy samoobsługa, preselekcja czyli dole i niedole handlu

Dwa lata temu jeden z łódzkich dziennikarzy odwiedził dyrektora Centrali Mięsnej, żeby zacytować informacje o przedsięwzięciu zaopatrzeniu sklepów w mięso, szynki, wędliny itp. Dyrektor zakomunikował dziennikarzowi, że sklepy zaopatrzone są świetnie i na święteczny run oczekują ze stoickim spokojem. Młody człowiek wrócił do redakcji i spreparował notatkę w której podał, iż zaopatrzenie na święta jest niedostateczne, w sklepach widnieją tylko nagie haki i w ogóle będzie źle.

Osobiście nie pamiętam, czy dwa lata temu sklepy mięsne i wszelkie inne dobre były zaopatrzone na święta, czy też nie. Nawet nie idzie mi o to, że ów dziennikarz co innego usłyszał, a co innego napisał, gdyż w tej chwili zajmuję się handlem a nie etyką. Jednym słowem nie merytoryczna strona przykładu jest istotna, lecz jego wymowa: o handlu, o zaopatrzeniu wolno pisać wszystko i wbrew wszystkim, czyli to co się komu żywnie spodoba. Rzekłem, że jest to wyjątkowa dziedzina, w której panuje niczym nieskrepowana wolność słowa, a ponieważ to ostatnio mam w dużej esymie i na handlu znam się gorzej od owego reportera, stąd moje zainteresowanie tematem.

Podczas gdy się doń poważnie zabierałem, mając zamiar ciągnąć rzecz w tym sensie, otworzy się drzwi. Weszła sąsiadka, niosąc na ręku dwa jugostowiańskie swetry i parę skarpet. Skarpetki były nawet nie gorzej i pomyślałem, że bym z chęcią je oglądał na swych nogach. Na przyklejonych kartkach widniały ceny: skarpetki 20 zł, sweter w paski — 350 zł, sweter gładki — 550 zł. Oczywiście były to ceny sklepowe i tyle wpłaciła do kasy sklepu jego kierowniczka, od której sąsiadka moja kupiła owe rzeczy po cenach odpowiednio wyższych, a więc 30 zł, 400 i 600.*).

Teraz dopiero pojąłem dlaczego pewna moja znajoma kierowniczka sklepu zwiędziała z „Orbisem“ całą Europę i dotychczas nie miała manka. Swego czasu posada (!) ekspedientki w dużym sklepie towarowym lub posada (!) kierownika stacji benzynowej kosztowały ponad 15 tysięcy złotych. Ile dziś kosztują? Nie wiem.

II.

Udałem się więc na reporterski szlak obserwacji. Codziennie rano budziło mnie głucho nawoływanie domokraczy! Haaandeel! Haaandeel! Buuuteiki! Szmaty! Kuupuujee!

Sorzedatem kilka butelek i w ten sposób zacząłem brać aktywny udział w jednoczesnym akcie kupna-

sprzedaży i przyspieszyłem cyrkulację kilkunastu złotych o jeden obrót. Krążyłem po sklepach, irytowałem sprzedawców, wybierałem, grymasiłem i w końcu i tak zwykle nie nie kupowałem. Zauważyłem natomiast, że wiele sklepów bierze udział w różnych konkursach dobrej obsługi i estetyki.

W witrynie jednego z nich rozczulił mnie do łez taki napis: „Witamy miłego klienta“. A więc to tak, to ja już teraz jestem dla nich miły, witają mnie obojętnie, kłaniają się niemal.

Wszedłem, rzeczywiście było miło, sklep czysty, przyjemny, towary lepsze, ekspedientki ładniejsze i klienci bogatsi. Podobno nawet remanentów mniej, ale to już chyba przesada.

III.

A więc to nieprawda, że łódzki handel nie zdaje egzaminu, że sieć sklepów jest źle rozmieszczona, że handlowcy są do kitu, etc. Niestety, jedna jaskółka nie robi wiosny, a jeden sklep — rewolucji w handlu. Gwoli prawdzie należy stwierdzić, że mamy w Łodzi coraz więcej dobrych sklepów, nieźle zaopatrzonych, o przyjemnych estetycznych wnętrzach czyli po prostu takich w których chce się kupować. Na ulicy Piotrkowskiej już około 70 proc. sklepów zostało całkowicie unowocześnionych.

IV.

Minister Lesz interpelowany na wiosennej sesji przez łódzka posłankę Kalinowską zapewnił, że w obecnej pięciolatce nastąpi wydatne zwiększenie sieci zaopatrzenia i usług na terenie Łodzi. Jednocześnie obok zwiększenia ilości sklepów wypierana będzie systematycznie tradycyjna forma sprzedaży, która już się przeżyła. Obecnie wprowadza się preselekcję i samoobsługę.

W tradycyjnej sprzedaży wybór trwał około 90 proc. całego czasu przeznaczanego na transakcję, a dziś w preselekcji i samoobsłudze czas wyrobu przy transakcji nie liczy się zupełnie. Nowe formy sprzedaży jednocześnie obok 6-8-krotnego wzrostu przepustowości i zwiększenia obrotów zmniejszają ilość personelu obsługującego.

Tak więc droga do polepszenia handlu i likwidacji zmyru kolejek prowadzi nie tylko przez wzrost liczby sklepów, ale i przez unowocześnienie form sprzedaży.

Jednak nowe formy sprzedaży wymagają obszernych lokali i tutaj pies jest po grzebany. W Łodzi przeważają sklepy „koluszkowskie“ tj. małe, z piecykiem i rurą na środku.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem Ireneusza Szmidta „Sztuka jest ich rzemiosłem“ zamieszczonym w „Odgłosach“ w numerze 2/98 z dnia 17 stycznia 1980 r. uprzejmie proszę o zainteresowanie poniższych uwag w najbliższym numerze. Uważam za bardzo cenne zainteresowanie się „Odgłosami“ Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych w Łodzi. Doceniając również dobre chęci autora artykułu nie mogę się jednak zgodzić z szeregiem sformułowań, tak co do treści, jak i co do formy.

Jestem ustępem przytoczonym moje szkiełkowe poglądy. Nigdy nie byłem zdania, że u nas dzieła się także dzieją, o których wie Paryż, a nie wie Warszawa. W „Odgłosach“ naraza się wielkim plastykom i Warszawiakom, że „dawno już zrealizowaliśmy wchłonięci przez zaręczony sąsiada“ itd. Przeciwnie, jestem zdania, że władze centralne (Warszawa) doceniają wysiłki nasze! Uczelnia i odczuwa ją opieką i miare możliwości.

Z poważaniem
ROMAN MODZELEWSKI



ŁÓDŹ 1960

To są fakty znane. Powie ktoś: profesor Alicja Dorabalska i natychmiast kojarzy do nazwisko z Marią Curie-Skłodowską. Albowiem wiadomo, że nasza profesor była uczennicą Curie. Była także uczennicą prof. Świętosławskiego, jak sama powiada „najbardziejie rodzona“. Przyjaźniła się z profesorami, Pilatem, Bartłem, znała wszystkich, którzy zgineli we Lwowie w wyniku akcji „Nachtigall“. Powie ktoś teraz: profesor Dorabalska i przyjdą mu na myśl niepokojące sformułowane zagadnienia, nad którymi pani profesor pracuje: budowa atomu, promieniotwórczość, energetyka przemian i reakcji jądrowych. To są już hasła, ale zawierają one wiele zaszyfrowanej treści: że w tych terminach także i o nas samych jest mowa, o naszym losie, teraźniejszym i przyszłym, że w tych hasłach zawarte są klucze do czasów, które nadechdzą, ale mowa jest i o czasach, które przeżyliśmy. Albowiem żyjemy w takiej epoce, która doznała gorzkiego doświadczenia jak wybuch bomby atomowej, jak i jest świadkiem wspaniałych podróży kosmicznych sputników i lunników.

My, oczywiście, nie przeprowadzamy wywiadu na temat warszawskie. Przystaliśmy do pani profesor, żeby dowiedzieć się, jak jej się w Łodzi pracuje. Jaki jest jej stosunek do miasta, które dopiero teraz, po wojnie gości tyłu uczonych, rozwija się wszechstronnie, z miasta „nieodległego“ przekształca się w miasto ludzi pracy i nauki. Dajemy tytuł felietonowi: „Uczona i miasto“.

V.

Przekształcenie form sprzedaży i prawidłowe rozmieszczenie sieci sklepów jest problemem ekonomicznym i architektonicznym, a te jak wiadomo rządzą się odpowiednimi prawami, które należy respektować. Słowo „modernizacja“ brzmi dumnie, ale w naszych warunkach to sprawa niezmiernie uciążliwa. Nie mówiąc już o tym, że zwykle ostatni wpadamy na jej pomysły, gdy na Zachodzie i Wschodzie nas wyprzedzili, to w dodatku tyle piętny się obiektywne trudności, aż dziw bierze, iż mimo to coś jednak w końcu dochodzi do skutku. Po prostu każda rzecz urasta u nas do rangi problemu, problemy z kolei narastają, zastraszają się, nawarstwiają i korelują.

I tak np. adaptacja, czyli zwykły remont sklepu, napotyka na szereg niespodziewanych trudności i ciągnie się nieraz ponad dwa lata. Sama dokumentacja trwa pół roku, później Inspektorat Inwestycji przy LZPH musi ją przewlec przez igielne ucho uzgodnień z Wydziałem Architektury i Nadzoru Budowlanego, z wo

(Dokończenie na str. 8)

Uczona i miasto

„W czerwcu tego roku powybierał po dwóch, trzech ludzi z poszczególnych katedr, przyniósł do Łodzi, wysypał nas na Wodnym Rynku, niby na dwa lata, a siedzę tutaj już piętnaście...“

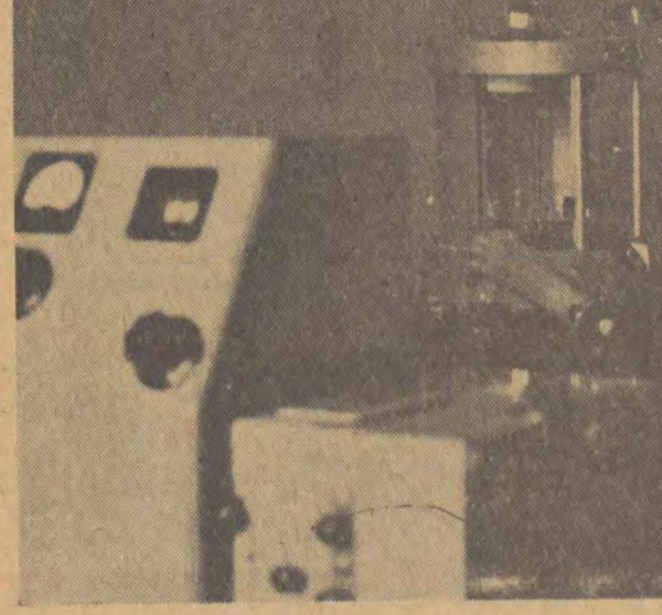
„Czy Łódź mi się podoba? Nie znalazł Łodzi przed wojną. Nie mam miary porównawczej. Ale dzisiejsza Łódź ma zalety młodego miasta. Coś się w niej budzi. Coś się rodzi. Mnie tu jest dobrze. Mój stosunek do miasta jest bardzo ciepły. Utrzymuję bardzo bliski kontakt z Warszawą. Ale atmosfera łódzka bardziej sprzyja nauce. Możliwość pracy naukowej w Łodzi są o tyle lepsze, że tu jest ciszej...“

A więc z życiem? Trzeba sobie powiedzieć, że katedra ma charakter teoretyczny. Ale są zagadnienia, które trzeba zbadać. „Jak się coś zdarzy ważnego, bierzemy na warsztat. Pomagamy w zakresie zagadnień radiochemii, mikrokalometrii... w pewnym szpłachu wynikł konflikt. Pracownicy żalili się, że są naszwielani za silnie. Zbadaliśmy...“

Nie musimy chyba sięgać do klasycznego przykładu z wodociągami rzymskimi, które długo jeszcze służyły następnym pokoleniom. Ale porównanie nasuwa się w tym wypadku nieodparcie. Prof. Dorabalska należy do grona tych ludzi, którzy stawiają ludzkości dzieła trwalsze niż budow-

Prof. Dorabalska przeniosła się do Warszawy. Tutaj uczyła, wykladała, prowadziła ćwiczenia ze studentami. „Młodzieńca była pełna zapału, cudowna — wspomina. — Stworzyliśmy prawdziwą rodzinę chemiczną, wykłady odbywały się po prywatnych domach...“

W roku 1945 prof. Stefanowski otrzymał misję zorganizowania Politechniki Łódzkiej.



Najdziwniejsza rebelia XX wieku

General Massu krepny brunet o wydatnym francuskim nosie jest dowódcą X Dywizji Spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. W niektórych batalionach tej dywizji 80 proc. skoczaków spadochronowych stanowią Niemcy. General Massu był jednym z przywódców puczu 13 maja, który wydzwignął generała de Gaulle'a do Pałacu Elizejskiego. General Massu został za ten czyn wysoko uhonorowany. Mianowany został dowódcą Algierskiego Okręgu Wojskowego. Z owoych dni spędził półtora roku pochodzą słynne zdjęcie, przedstawiające de Gaulle'a serdecznie ściskającego dłoń generała spadochroniarza.

Półtora roku, to jednak bardzo dużo w warunkach wojny kolonialnej, pod palącymi promieniami afrykańskiego słońca.

W połowie stycznia przyjechał do Algieru dziennikarz zachodnio-niemieckiej gazety „Sueddeutsche Zeitung“ Ulrich Kempky — również spadochroniarz z przeszłością — żołnierz hitlerowskiej dywizji „Zielonych dyabłów“.

Ulrich Kempky przyjechał do Algieru, by napisać cykl reportaży na temat algierskiej wojny. Pewnego dnia zameldował się u niego kapitan armii francuskiej. Czy Ulrich Kempky nie zechciałby odwiedzić generała Massu? No cóż, gratka dla dziennikarza! Po dwóch godzinach (Dalszy ciąg na str. 7)

Te starożytno, wybiegają daleko, daleko naprzód, swoją żmudną pracą otwierają światy nawet nie przeczuwalne.

Tekst: PAT
Zdjęcia: BIL



JERZY DAGOBERT

naloty doprowadziły do ewakuacji dworu królewskiego i parlamentu, sądził, że przestanie działać administracja, że rząd wyda decyzję zamknięcia banków. Żaden z tych celów nie został osiągnięty.

Parlament brytyjski, którego sesja rozpoczęła się 6 września, obradował w trybie normalnym. Tylko czasami przewodniczący Izby przerywał dyskusję mówiąc: „Informuję mnie, że niemieckie bombowce zbliżają się do miasta, zawieszam obrady do odwołania alarmu”.

Dzienniki wychodziły nadal. Program BBC transmitowany był bez żadnych przerw. Kiedy rozgłosiła hamburska poddała w jednej z audycji, że rząd angielski opuścił stolicę, wszystkie dzienniki brytyjskie natychmiast zdementowały tę wiadomość.

Kiedy ofensywa osiągnęła punkt kulminacyjny, Goering w rozmowie z Hitlerem powiedział: „Posiadamy tak zdecydowaną przewagę, że potrafimy zniszczyć lotnictwo brytyjskie i sparaliżować flotę brytyjską”. Ale Brauchitsch bardziej wierzył w osiągnięcie innego celu. Odparł więc Goeringowi: „Jeżeli Luftwaffe złamie morale Anglików i przygotuje odpowiednie warunki do zawieszenia broni, to już może pan uważać, że cel został w zasadzie osiągnięty”.

Hitler marzył o tym, aby

Kontrpartnere Goeringa w

bitwie o Anglię był pierwszy marszałek lotnictwa Hugh Dowding — człowiek średniego wzrostu, o lekko szpakowatych włosach i nieco żółknionym wyrazie twarzy.

Dowding zreczenie kierował swoimi słabszymi ilościowo siłami, a poza tym na jego korzyść działały następujące o-

„Spitfire” szybciej nabierał wysokości, aniżeli niemiecki „Messerschmitt”, zwykle więc ten pierwszy miał znaczną przewagę. Najważniejszy jednak był fakt, że Dowding dysponował największą niespodzianką lotniczą wojny — wynalazkiem Hebertha Watson-Watta — radiolokacją (rada-

12 października, po poniesieniu ogromnych strat, Hitler zrozumiał, że plan, który miał przynieść pokój w zachodniej Europie, tak aby umożliwić mu uderzenie na ZSRR bez obawy ataku z tyłu, nie powiódł się.

W drugiej połowie września wykorzystując pełnię księżyca, angielskie bombowce przeprowadziły naloty na niemieckie porty inwazyjne Charbourg, Boulogne, Calais i Dunkierke. W Dunkierce zatopiono osiemdziesiąt czterech barki inwazyjne. W końcu września Hitler zdawał sobie sprawę, że ofensywa Luftwaffe zalamala się.

W tej samej sali, w której przed kilkoma tygodniami powiedział zebranym generałom, że zasadniczym warunkiem przeprowadzenia inwazji będzie zniszczenie lotnictwa brytyjskiego, zapadła ostateczna decyzja zrezygnowania z wyładowania na wyspach brytyjskich.

Decyzji tej Hitler nigdy nie wypowiedział głośno. Ale każdy z tych ludzi, którzy w ów wieczór uczestniczyli w posiedzeniu w zamku w Ziegen-

berg, zdawał sobie sprawę, że dokonanie inwazji na Anglię w 1940 roku okazało się niemożliwe. Głównym powodem było nieosiągnięcie przez lotnictwo niemieckie zwycięstwa w bitwie powietrznej o Anglię. Jako główny powód nieosiągnięcia zwycięstwa powietrznego nad Anglią Hitler podał: „...złą jesienną pogodę”.

Dopiero rok później podczas pierwszych niepowodzeń w okresie bitwy o Moskwę Hitler siedząc w Wolfsczantz w towarzystwie Goeringa powie głosem pełnym wściekłości: „Mielśmy wówczas do dyspozycji najpotężniejszą flotę powietrzną w świecie, nie potrafiliśmy tej szansy wykorzystać, nie potrafiliśmy również wykorzystać zaskoczenia i braku przygotowania do obrony Brytyjczyków w czerwcu i lipcu 1940 roku i wdaliśmy się w długotrwałą bitwę powietrzną stwarzając tym samym dla Anglików szanse skonsolidowania swych wojsk. Dlatego inwazja nie mogła się udać. W ciągu najbliższych lat fakt ten odczujemy szczególnie boleśnie”.

KONIEC

Operacja „LEW MORSKI”

rem). Za pomocą radaru dowiadywał się on o zbliżaniu się wroga, o jego sile i o dokładnym kierunku lotu. I dlatego też, pomimo że liczebnie był słabszy od przeciwnika, prawie zawsze mógł skoncentrować przeważające siły w decydującym punkcie.

ANDRZEJ SKOWROŃSKI

Byli łódzcy Blutrichtern

znowu przy pracy

Jednym z narzędzi hitlerowskiego terroru były tzw. Sondergerichte. Utworzone w 1933 r. miały na celu likwidację przeciwników hitleryzmu w Niemczech. Stwierdził to m.in. Wolfgang Idel, obecny prezes sądu krajowego w Düsseldorfie, pisząc w wydanej w 1935 r. we Fryburgu pracy „Sondergerichte für politische Strafsachen” („Sądy specjalne do spraw politycznych”), że zadaniem tych sądów jest „całkowicie zlikwidować przeciwników III Rzeszy, a przede wszystkim komunistów i socjalistów”.

Tak więc w ciągu jednego tylko roku 1934 w samym Dreźnie sądy specjalne skazały 1.068 antyfaszystów. Warto przypomnieć, że postępowanie przed tymi sądami odbywało się w trybie doraźnym, co pozwoliło np. skazać w ciągu trzech dni 91 oskarżonych w drezdeńskim procesie „monstre” przeciwko Junknickelowi i członkom KPD.

W czasie wojny rola sądów specjalnych jeszcze wzrosła. Stały się one zarówno na terytorium Rzeszy, jak i na obszarach okupowanych głównym ogniwem hitlerowskiego „wymiaru sprawiedliwości”, w rzeczywistości zaś — jednym z podstawowych narzędzi eksterminacji przeciwników hitleryzmu.

Zbrodnie sądowe popełnione przez prokuratorów i sędziów Sondergerichtów sprawiły, że decyzja władz okupacyjnych (ustawa o socjalistycznej Rady Kontroli Niemiec z 30 października 1945 r.) postanowiono, że „do celu zreformowania niemieckiego wymiaru sprawiedliwości wszyscy byli

członkowie partii hitlerowskiej, którzy brali aktywny udział w jej działalności i wszystkie inne osoby, które bezpośrednio uczestniczyły w wymierzaniu kary przez reżym hitlerowski muszą być usunięci ze swych stanowisk jako sędziowie i prokuratorzy i nie mogą być dopuszczeni do tych urzędów”.

Niestety, w wyniku polityki państw zachodnich, a przede wszystkim stanowiska rządu brytyjskiego, dzisiaj w zachodniemieckim aparacie sprawiedliwości pracują nadal byli hitlerowscy sędziowie i prokuratorzy. Według danych, opublikowanych przez Komitet Jedności Niemiec, na 1000 byłych hitlerowskich sędziów i prokuratorów: 17 pracuje w związkowych i krajowych ministerstwach sprawiedliwości,

23 w najwyższych sądach związkowych,

134 w wyższych sądach krajowych, z czego 33 w charakterze prezesów,

276 w sądach krajowych, z czego 147 w charakterze prezesów i dyrektorów,

257 w tzw. Amtgerichtach,

54 w innych sądach,

231 w organach prokuratury,

8 pełni inne funkcje sądowe.

Wśród wspomnianych sędziów i prokuratorów 114 działało w czasie okupacji na terenie Polski, a wielu z nich jak np. Dally, dr Felmy, dr Hucklenbroich, Michałowski, dr Mohs czy dr Riepenhausen zostało wpisanych na polską listę zbrodniarzy wojennych.

Nie brak wśród nich prokuratorów i sędziów, którzy „działali” w czasie okupacji na terenie Łodzi. I tak:

dr HADINGER OSKAR

byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią wyższego sądu krajowego we Frankfurcie nad Menem,

dr WELZ
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Siegen,

dr WEX
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest dyrektorem sądu krajowego w Arnsberg,

dr WRÓBLEWSKI HERBERT
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią wyższego sądu administracyjnego w Lüneburgu.

dr NEUBAUER HORST
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest prezesem izby sądu socjalnego w Essen,

NOACK
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Schlezwig,

dr NUGN
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Kassel,

dr OEGG
nadprokurator sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Mühldorf w Bawarii,

dr SCHUTTE
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Wuppertalu,

dr SEIFERT GEORG
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest prezesem izby sądu socjalnego w zachodnim Berlinie,

STUMPF
byli prokurator sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest pierwszym prokuratorem w Norymbberdze.

TRAUB
sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest nadprokuratorem w Szutgarcie,

dr WEHNSPON
byli prokurator sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest prokuratorem w Lüneburgu,

WEICHERT

byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią wyższego sądu krajowego we Frankfurcie nad Menem,

dr WELZ
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Siegen,

dr WEX
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest dyrektorem sądu krajowego w Arnsberg,

dr WRÓBLEWSKI HERBERT
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią wyższego sądu administracyjnego w Lüneburgu.

dr NEUBAUER HORST
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest prezesem izby sądu socjalnego w Essen,

NOACK
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Schlezwig,

dr NUGN
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Kassel,

dr OEGG
nadprokurator sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Mühldorf w Bawarii,

dr SCHUTTE
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest sędzią w Wuppertalu,

dr SEIFERT GEORG
byli sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest prezesem izby sądu socjalnego w zachodnim Berlinie,

STUMPF
byli prokurator sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest pierwszym prokuratorem w Norymbberdze.

TRAUB
sędzią sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest nadprokuratorem w Szutgarcie,

dr WEHNSPON
byli prokurator sądu specjalnego w Łodzi, obecnie jest prokuratorem w Lüneburgu,

Dane powyższe są niepełne i wciąż uzupełniane. Nie obejmują np. około 8 tysięcy pozostających sędziów i prokuratorów, z których ogromna większość otrzymuje dzisiaj wysokie renty, jak np. były główny prokurator III Rzeszy Lauitz, pobierający emeryturę w wysokości ponad tysiąca marek miesięcznie, a więc pięć razy więcej niż wynosi przeciętna renta dla ofiar terroru hitlerowskiego.

Byli Blutrichtern nadal pracują w zachodniemieckim politycznym wymiarze sprawiedliwości, skazując niejednokrotnie na wieloletnie kary więzienia byłe ofiary terroru hitlerowskiego prowadzące dzisiaj walkę o zjednoczone i demokratyczne Niemcy. Przykładem tego jest m.in. kariera dr Ernsta Kantera, który w czasie wojny był szefem wojskowego sądownictwa niemieckiego w Danii i został uznany winnym śmierci kilkuset duńskich patriotów. Po wojnie Kanter pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji, aż

wreszcie w 1957 r. został mianowany prezesem 3 (politycznego) senatu karnego Trybunału Związkowego w Karlsruhe. Pod wpływem presji niemieckiej i zagranicznej opinii publicznej Kanter został odwołany ze swojego stanowiska. Tego rodzaju indywidualna decyzja nie zmienia jednak powszechnie znanego faktu tolerowania i wręcz popierania przez władze zachodniemieckie byłych hitlerowskich sędziów i prokuratorów.

Opieszałość śledztwa wobec przestępców hitlerowskich nie jest przypadkowa, ponieważ w 1960 r. wchodził w życie w Niemczech Republice Federalnej nowy kodeks karny, zgodnie z którym ogromna część hitlerowskich przestępstw ulegnie przedawnieniu. Wejście w życie nowych przepisów będzie równoznaczne z usankcjonowaniem bezkarności hitlerowskich zbrodniarzy.

Wszystko powyższe rzuca niejakie światło na to ostatnich ekscesów neofaszystowskich, które wstrząsnęły opinią świata.



odgłosy

Niezwykła bywa geneza popularności

Niezwykła bywa geneza popularności.

Święte ptaki Junony przysporzyły rozgłosu Kapitolowi. Młynsko znalazło się na szpaltach gazet na skutek wojny o... wszy.

Wojnę tę rozpoczęło w erze wyszukiwania „oryginalnych problemów” — półtora roku temu. Prowadzili ją między sobą: jeden z poważanych dzienników łódzkich i nie mniej poważana redakcja jednego z pism centralnych posiadająca filię w Wieluniu. W bitwie tej, toczony z niesłychaną zaciętością polemizm, jedna strona przekonywała, że dziesięcioletni Wojtek R. miał w lepetynie złośliwe insekty. Druga natomiast strona udowodniła, że ich nie miał. Redaktorzy obydwu pism tak zaciętrześli się we wzajemnym przekonywaniu, że w ferworze ostrej dyskusji wyrwał się któremuś z nich obraźliwy epitet pod adresem antagonisty, za co toczył się podobno w Łodzi proces o zniesławienie. Ubolewam, że nie znam wyroku w tej arcyciekawej sprawie. Dla wsi Młynsko ta polemika prasowa była o tyle twórcza, że zwrócono na nią bacniejszą uwagę w powiecie. (Bądź co bądź nie o każdej wsi toczą się sprawy w gazetach). Spór ten ścignął siedem komisji i 23 inspektorów ze służbowymi delegacjami, którzy badali przez 2 miesiące przy czynny powstawania insektów w czuprynach wiejskich urwisów.

Badania te miały tę dodatnią stroną, że przy okazji władze powiatowe w Wieluniu i wojewódzkie w Łodzi, dowiedziały się iż chłop z Młynska prawie bez żadnej pomocy państwa, własnymi siłami i z własnych funduszy wybudował okazały dom ludowy wartości 1,5 miliona zł i 3 kilometry białej drogi. Osiągnięcia te uzyskano zapewne dlatego, że wieś leży 6 kilometrów od najbliższej stacji kolejowej i autobusowej, przez co mieszkańcy jej nie byli narażeni na nadzredną inspirację. Robili to co według nich było dla wsi najbardziej konieczne. O rozsądki i trafności ich poczynań świadczy chociażby fakt, że gdy jeszcze nie było słychać o Funduszu Rozwoju Rolnictwa i o społecznej mechanizacji wsi, chłop z Młynska kupił sobie... traktor.

Prekursorzy dobrej woli

Młynsko ma swoją ulicę Piotrkowską. Różnica między 3-kilometrową wiejską drogą a łódzką ulicą polega jedynie na tym, że w Młynsku nie ma dekoracyjnie malowanych chałup, a po Piotrkowskiej nie kursują traktory).

Ale i tu i tam życie skupia się wokół jednej, głównej arterii. Wystarczy stanąć na jej środku, aby zobaczyć co dzieje się na wsi, bez pastelowych kolorów.

Na drodze minął mnie połykający „Ursus” z przyczepą. Fakt ten nie byłby godny zanotowania, gdyby nie napis na traktorze „Kółko Rolnicze Młynsko”. Napis świadczył o jego właścicielu. Traktor zakupiono ze składek wszystkich rolników ze wsi. Po stworzeniu Kółka Rolniczego, część udziałowców nie przystąpiła do tej organizacji. Swoje wkłady, wycofują jednak w robociznie jaką traktor wykonuje na ich zagonach. Decyzja rozsądna. Pieniądz rodzi pieniądze — mówi kupieckie przyszłość — Maszyna zrodziła maszynę — mówią chłop z Młynska. I nie bez racji. Z funduszy zebranych za eksploatawa-

nie „Ursusa” uzyskano pieniądze na 25-procentowy wkład na kupno nowego traktora. Dwa miesiące temu Kółko Rolnicze w Młynsku zakupiło za 130.000 złotych nowy „Zetor” z pełnym zestawem maszyn rolniczych. O ich los można być spokojnym. Nie będą leżały na deszczu ani w pokrzywach jak pomorskie maszyny.

W stodole stojącej kawalek od drogi zachłystywała się napychana snopami młocarnia. Ludzie krzatali się na maszynie i przy odbieraniu słomy. W pewnej chwili terkot młocarni zamilkł. Przechodzący drogą starszy, otwły mężczyzna przystanął i pogonił idącego z nim chłopaka.

— Skocz no, Kazek, do

trochę wydziewali, że pieniądze trza supać z mieszkańców. Ze traktor to prawie tak jak cholecz. Inni, nawet nie partyjni, agitowali. Swoista była to agitacja. Sycula mówił: „Trza brać kiedy dają za 40 tysięcy traktor i maszyny. Póki można wziąć. Bo a nuż im się coś odwdzi i przestaną dawać. W Młynsku kupili traktory i „chołchozu” nie robia. Stary Mielczarek dodawał „Jak będzie trza iść do spółdzielni to nie będziemy musieli kupować maszyn z dniówek obrachunkowych”. Przyznam się, że ja nie podjąłbym się takiej argumentacji. Wiadac, że chłopcy są wielkimi realistami. Między sobą mówią szczerze i używają go-

„Sergiej” ma dożycie

Znajomy mój, mówił mi, że kocha się w kobiecie. Co prawda, póki nie ujawni ona swoich wad.

Przepraszam panie za ten może niefortunny przykład. Lecz podobny jest mój stosunek do... koni. Patrzyłem na nie zawsze jako na nieodłączny atrybut rolnika i lubiłem je. Dziś patrzę na nie krytycznie. Właśnie dlatego, że pokazano ich wady. Wady o tyle istotne, że biją po... żołądki.

Wspomniałem, że pięciu rolników z Białej za sprzedane konie zyskało po 1 ha

Białej od pewnego Rosjanina gdy wracał z Niemiec do domu. Koń ma już 22 lata i od trzech lat nie pracuje w polu. Grobelny twierdzi, że przywiązał się tak do zwierzęcia, że nie ma sumienia oddać go rakażowi. Może ma rację? Ostatecznie jednemu wolno utrzymywać dla przyjemności rybki w akwarium, dlaczego drugi nie może hodować konia? Zwłaszcza, że końscy emeryci z racji swojego wieku nie są wymagający.

Przeładka na traktor

Ludzie, z którymi rozmawiałem w Białej to doświad-

tucia, która zainteresowana jest żeby kółka się kręciły i rozkręcały. Może nie należy uogólniać? Może to tylko jakiś jeden wydział, np. organizacyjny? Może jeden tylko biurokrata?

Nie wiem. Nie jestem zwolennikiem zbiorowej odpowiedzialności lecz z braku konkretnego sprawcy, mówię tak, jak wszyscy — o całej organizacji.

Wiem tylko, że w ostatnim kwartale nastąpiło zamieszanie w powstawaniu nowych kółek. Z braku statutów-Chłop nie ma zaufania do ustnych zapewnień, że „tak i owak”. Cześć czarno na białym widzieć co to jest kółko, chce znać swoje prawa i przede wszystkim korzyści. Tymczasem w końcu listopada, ubr. (trzy miesiące po zatwierdzeniu statutow na Zjeździe) egzempiarze ich dotarły dopiero do powiatów.

W styczniu i lutym ub.r. w wiejskich kółkach rolniczych dokonano wyborów delegatów na zjazd powiatowy, który miał odbyć się na wiosnę. Później, zjazdy przeprowadzono na wrzesień, następnie na grudzień, a obecnie nic się o zjazdach nie mówi. Jak tu radzić, skoro nie ma jeszcze statutów powiatowych i wojewódzkich Związków Kółek Rolniczych? Na Zjeździe Ogólnopolskim poinformowano zebranych, że powołana w tym celu specjalna komisja opracuje w/w statuty i prześle je w teren. Komisja ta jak widać nie pracuje zbyt dziarsko. To, że chłopci nie mogą na zjeździe powiatowym podzielić się rocznymi osiągnięciami, zawdzięczać można nie komu innemu jak właśnie centralnej komisji opracowującej statuty.

Wieluńskie nie jest powiatem bogatym. Naturalnie warunki skłaniają chłopów w tym powiecie do korzystania z mechanizacji.

Trzeba więc... Nie, ja nie będę tym najmądrzejszym. Co trzeba zrobić, żeby te warunki wykorzystać wie każdy członek kółka rolnicze go na wsi, wiedzą w powiecie i w województwie. Wystarczy trochę ognia i oliwy, żeby kółka kręciły się dalej.

Mógłby ktoś powiedzieć: „Dlaczego pan pojechał właśnie do Młynska i Białej?”

Proszę mnie zwolnić od odpowiedzi. Samo pytanie o Młynsko sprawia, że wsadzam rękę za pazuchę i drapię się niemilostniwie. Chociaż dzieciaki we wsi mają głowy czyste, a kolo gospodyń wiejskich otrzymalo nagrodę czystości. Niezwykła bywa bowiem geneza popularności.

**) Ale kursują po al. Kościuszki, również reprezentacyjnej arterii, kursują po wszystkich ulicach śródmieścia, doprowadzając swoim rykiem do palpacji serca spokojnych mieszkańców. Traktory z miasta na pola! Czas już najwyższy! (Dopisek zecera)*



Janka, zobacz co się stało z maszyną. Chłopak puścił się biegiem przez łączkę. — To wasza młocarnia? — spytałem chłopca. — Pewnie — odparł ośchle. Nim chłopak dobiegł do stodoły maszyna ruszyła. Spadł pas z motora. Za duzo podali snopków. — Spiesz się — zrobiłem uwagę. — A niech się śpieszą. Byleby nie rozklekotali maszyny. Inni czekają. — A cie — pomyślałem — spryciarzu. Masz własną maszynę i zarabiasz na ludziach. W Gromadzkiej Radzie wprowadzono mnie z błędem. Młocarnia jest również własnością Kółka. A chłop jest jej współwłaścicielem. Nie skłamał.

Ja się też nie pomyliłem. Przyznaję, chłop jest spryciarzem. Pilnuje jeden drugiego. Niezle. Co kupia w przyszłym roku za zarobione pieniądze? Nie wiem. Najlepszym doradcą jest dobry przykład. Tak mawia ksiądz Muszkiet. Nie śmieję się.

On tak mówi naprawdę.

Zarazili się... benzyna

Gromada Biała ma ośmiem wsi. Samych Białych jest chyba 5. Biała I, Biała II, Biała Parcela i inne jeszcze. W siedmiu wsiach są już kółka rolnicze. Tak jak w socrealistycznej powieści. Są nawet pozytywni bohaterzy naszych czasów. Może tylko mniej schematyczny. No bo proszę, taki ksiądz Muszkiet. Chciał nie chciał i dla niego musi się znaleźć miejsce, pozytywne.

W Białej II, Kółko istnieje już dwa lata. Na Uniwersytecie Powszechnym chłopcy ze wsi „wkuwali” przez ten czas teorię. Szło niezgorzej. Tylko z praktyką kulało. Bo i jak nie miało kuleć? Prelegenci mówili o koniach mechanicznych. A we wsi była „mechanizacja” o owśianym napędzie.

70-letni Józef Mielczarek, z partyjnej organizacji, Koniarzyk, Stefan Sycula, Marecinak, Smółka, Tomczak i kilku roztropniejszych chłopów podjęło decyzję „kupim mechanizację”. Chłopi

spodarskich argumentów. Ksiądz, też członek Kółka, był za traktorem. Na parafialnej ziemi gospodarzy wozem i bez mechanizacji. Jego głos nie był bez znaczenia przy kupnie traktora. Kiedy przywieźli „Zetora” na podwórko Stefana Syculy pół wsi ścignęło tu, aby go obejrzeć.

Jeżdżono nim w „te i wewte” stronę. I co, dużo mówić, nowi właściciele nie ukrywali zadowolenia ze sprawunku. Sceptycy lub zawistni przygadywali.

— Chodź to on nieźle chodzi, żeby tylko jeszcze s...l, to by mu nie zarzucić nie było można.

— Będziemy sami częściej chodzić. Bo do ty pory to się i wy...ć nie było czasu — odpowiadał właściciel traktora.

O! takie sobie towarzyskie pogaduszki. Jedyne brat Sycula, który należał do Kółka w Białej Parceli nie mówił nic. Zwrócił się do mnie, że zazdrość go wzięła, nie mógł słowa powiedzieć. „Czekajta” — pomyślał i poszedł do swoich. Razem z Władkiem Okrasą i instruktorem Ignacym Smółką tak kręcili, tak namawiali, że w kilka dni później nowa delegacja wybrała się do Łodzi po „Zetorka”.

Drugie Kółko w Białej zostało zmechanizowane. Jest powszechną tajemnicą, że trzecie Kółko w Kopcu stara się również o maszynę. Czytelnik pomyśli, że „błagię”. Że wymyślam historie fikcyjne by stwarzać zachęte do zakładania kółek. A jednak przedstawiam fakty autentyczne. Wnioski niech każdy wyciąga sam. Agitacja jest w dobrym przykładzie, jak mawiała wspomniana już osoba. Natarczywa propaganda nie robi dobrej roboty. Chłopi w Białej wykpiwali Polskie Radio, że „miela w kółko o kółkach 6 razy na dzień jakby im bardziej załezało na naszym dobrobycie jak nam samym”. A swoją drogą temat staje się wdzięczny. Może z tego okresu pdwstanie kiedyś taki polski „Zorany Ugór”?

Na razie, dodam jeszcze: w związku z kupnem traktora w Białej II członkowie Kółka, Walenty Gnyc, Władysław Fryta, Jan Marcinak, Michał Włodarczyk i Antoni Belda sprzedały swoje konie. Użytkali za to po 1 hektarze ziemi.

ziemi. Tak jest istotnie, chociaż ziemi im nie przybyło. Proszę sobie wyobrazić, że 1 koń zjada rocznie tyle ziarna, ile rodzi się w powiecie wieluńskim z 1 ha ziemi. To jest — ponad 14 kwintali. W ubiegłym roku w Wieluńskim konie zjadły ponad 17 tysięcy ton zboża. Nie bez słuszności ekonomiści twierdzą, że konie są karmione słoniną. Za tę ilość ziarna, którą zjadają można by w pow. wieluńskim utuczyć 85 tysięcy wieprzy. To prozaiczne wyliczenia oziębilo moje uczucia dla Siwków i Gmiadych. Miłane na drodze szkapy oceniam okiem amatora „scharboszczaka”. Zdaję sobie sprawę, że nie można koni wyeliminować całkowicie z gospodarki. Ale dobrze, że sporą ich część wyprzą ze stajni traktory. Gorzej jednak, że rolnicy nie zawsze mogą sprzedać swoje czworonogi.

W Powiatowym Zarządzie Kółek Rolniczych w Wieluniu poinformowano mnie: w Rejonie Rudniki trzy razy wyznaczano termin skupu koni. Mimo obietnic przedstawicieli Oddziału Powiatowego Centrali Obrotu Zwierzętami Rzeźnym: w Wieluniu nie zjawili się w ustalonym terminie. Konfrontowałem ten fakt z dyrektorem wyżej wymienionej instytucji. Zaprzeczył: „Koni nie ma”. Upewniłem się jeszcze raz w Zarządzie Kółek. Potwierdzili, że są. Powiedziano mi: „Konie same nie przyjdą do biurka dyrektora”. Komu wierzyć?

Przy okazji dowiedziałem się od dyrektora C.O.Z. Rz. w Wieluniu historyjki, która mogłaby być zabawną anegdota, gdyby nie była smutną rzeczywistością. Otóż dyrektorzy kilku fabryk w Łodzi, posiadający w swoim taborze konie, w nadgorliwym „wypełnianiu wytyczonych zadań” świetne konie odesłali do... rzeźni. Konie poszły pod nóż. Tymczasem można by je z powodzeniem przerzucić na wieś i wymienić za rachityczne chabety. Młode, silne konie z fabrycznego taboru z powodzeniem mogłyby uprawiać chłopską glebę. Gdyby nie obawa, że narażą się na śmieśkość, to wystąpiłbym z wnioskiem o karanie takiej nadgorliwości.

Jeden koń w powiecie wieluńskim ma jednak zapewne dożycie. Jest nim koń o sympatycznym imieniu „Sergiej”. Konia tego dostał Stanisław Grobelny z

czeni gospodarze. Zaden z nich nie wpłaciłby się w niepewną spekulację. Bo i po co? Żyją i tak dostatnio. Chęć żyć lepiej. To nie frazeje. Bzdury plecie ten kto twierdzi, że prawdziwy rolnik nie jest zainteresowany w zwiększeniu dochodowości swego gospodarstwa. Zdają sobie sprawę, że w pojedynkę żaden z nich nie kupi by traktora. Fundusz Rozwoju Rolnictwa to taka wspólna skarbanka. Cały wsi. Korzystać mogą z niej wszyscy. W Białej korzystają z tej skarbanki i nie mają zamiaru zaprzestać wyjmowania zbieranych im przez państwo pieniędzy.

Państwowy Ośrodek Maszynowy w Opojewicach wydawał swojego czasu budynek w Białej. Stoj teraz niewykorzystany. Chłopi chcą go przejąć na warsztaty naprawcze maszyn. Gnębi ich brak pomieszczeń na maszyny. Zbierają pieniądze na cement. Będą robić na wiosnę pustaki na budowę garaży. Na zebrania w sprawie zakupu czy budowy nowych inwestycji przychodzi prawie cała wieś. Nawet ci co do Kółka nie należą. Patrzą na co wydaje się pieniądze. Bo to przecież wspólny fundusz. Młodzi chłopcy wiążą swą przyszłość z nową organizacją. Na kurs dla traktorzystów zgłosiło się aż pięciu chłopaków. Kto wie, może właśnie, traktor powstarczy ma ucieczkę ze wsi? Pewien mądry człowiek 40 lat wstecz zapowiadał chłopom na traktor. Wielu boi się, że przy tej przesiadce nie połamać sobie kości. W Białej reżolutni chłopcy przesiadkę tę już zrobili. Latwiej to poszło niż się można było spodziewać.

Kto sypie plasek na kółka?

Nie do wiary. Plasek na kółka sypie Centralny Związek Kółek Rolniczych, Insty-



Popołudnia trędowatych

Jeżeli Twój syn, który studiuje w wielkim mieście, zamierza zdać egzamin przepadając Twoje przekazy pocztowe, Czytelniku, jeżeli nauka interesuje go li tylko pod kątem specyficznej alchemii i poświęca się mieszaniu nowych octali alkoholowych, i ma nieodparty pociąg do barów, jeżeli Ty, Czytelniku, dałeś swemu synowi dobre dzieciństwo, a syn Twój już w drobnych sprawach zdradził cynizm, jeżeli Twoja córka w wieku lat piętnastu przygląda się uporczywie nowemu kuchennemu, zastawiając nad zagłębieniem tego nosza w ciało ludzkie i myśli o tym, jaki opór stawiałaby, i wyobraża sobie, że wystarczy dotknąć ostrzem skóry, aby ciało przyciągnięte nieuchronnością zbrodni, samo rzuciło się na spotkanie z nożem — wiesz — którego dnia, Twój syn lub Twoja córka zrobią coś takiego, czego będą żalować przez całe życie, a Ty zostaniesz sam i poczujesz się oszukany i nieszczśliwy.

Celowo wynaturzyłem nieco moralizatorskie ostrze „Popołudnia trędowatych”, zostawiając tylko pewne przesłanki prowadzące młodzież do przestępstwa. Juan Goytisolo, 21-letni autor, upatruje przyczyn wykoślenia młodzieży przede wszystkim w złym systemie wychowawczym, tradycjonalistycznym, świecącym próchnym w zetknięciu z cennymi naukami panującego pokolenia. Grupa młodzieży, studentów i pseudosudentów walki o i grzebie w bebecach metafizyki. Metafizycy jak to metafizycy, których dnia zaczyna szaleć. Jeżeli we wczesnej młodości robili drobne świństwa, jest nadzieja, że będą konsekwentnie strzelać i raka im nie zadrzy.

Jeżeli znają na pamięć „Starek pójany” Rimbauda będą mordcami doskonałymi, Augustyn jest mordercą doskonałym. Zabija Dawida, swojego przyjaciela i zjada w obecności trupa jego kolację, befszyk i frytki. Potem stawia wódkę nieznaną w restauracji i spokojnie oddaje się w ręce policji. Augustyn musiał zabić „Musze wynudować alibi, aby dowieść sobie, że istnieje” — mówi.

Bezsensowne, ułatwione istnienie żąda w pewnej chwili definitywnej sankcji: zabójstwa. Juan Goytisolo oddzielił je kilkoma warstwami. Najcięższa jest chyba warstwa dydaktyczna. Pokazuje konsekwentnie dialektykę dojrzewania zbrodni. Zaczyna się od ukradzenia dzbanu staremu garmaczowi, przekucia opony roweru, który listonosz zował przy wejściu do hotelu, kradzieży popielniczki, kolekcji znaczków z gabinetu ojca, potem wszystko się splata i gmatwa i zostaje tylko zabójstwo.

Powieść kompromituje stare slogany tradycyjnej pedagogiki w rodzaju: „Miej ufność we własne siły”, „Bądź uprzejmy” itp.

Rodzice tracą kredyt zaufania dzieci, nawet jeżeli się

o niego bardzo starają. Młodzież gmatwa się w maskaradach wewnętrznych i zewnętrznych i nie znajduje w nich dróg wyjścia. Luis, jako dziecko, każe sobie płacić za usiępstwa na rzecz rodziców. Za przyzwolone zachowanie się przy stole w obecności gości — 5 peset. Za niegwidanie w korytarzu, kiedy babcia śpi — 1,50 peset. Rosnie taryfa usług wobec rodziców i już grunt jest, przygotowany pod start i życie ułatwione.

Zycie ułatwione. Oto formula, która pozwoli dostrzec pokrewieństwa i różnice w sytuacji młodzieży hiszpańskiej i polskiej. Łatwy start życiowy demoralizuje młodzież przedstawioną przez hiszpańskiego prozaika. Młodzi ludzie mają za dużo pieniędzy, które im łatwo przychodzą. Cały ich wysiłek umysłowy zmierzają do sublimowania kompleksów i rozmaitych aberracji duchowych, a nie do zdefiniowania siebie jako jednostek w grupie społecznej.

Powieść posiada jednak warstwę motywacji głębszych niż obnażenie niefortunnego postępowania pedagogicznego. Goytisolo stawia diagnozę społeczną i klasową istniejącemu stanowi rzeczy. Leży ona jednak na dalszym planie. Są to dość niesprecyzowane socjalno-nihilistyczne majakowanie całej grupy. Nie jest to najmocniejsza strona książki, ale nie to jest najistotniejsze. Cudość toczy się w sosie anarchistycznym podległym różnorodnym wódkami.

„Popołudnia trędowatych” to książka o buncie młodzieży burżuazyjnej. Tkwi on w konfliktach w niepodgodzeniu z własną klasą, która upokorza swoich synów szablonem sytości, sztamą dostatków.

Buntowi temu zabrakło kręgosłupa. „Podoba mi się, że zabijemy starego” — mówi Uribe. To wystarczy. Zabójstwo ma być antidotum na to, co jest. „Trzeba zasłonić lustro i strząść szczyby. Nie będę inaczej mógł oprzeć się pokusie zakochania się w sobie samym”. Okazuje się, że kompleks niechęci do starych jest pozorny. Sytuacja w gabinecie Guarnera przypomina trochę scenę z „Kordiana”, kiedy bezsilny, romantyczny młodzieńiec osuwa się zemdłony na progu sypialni cara. Dawid jest w pewnym sensie współczesnym, hiszpańskim Kordianem. Ceną zabójstwa nie jest jednak wolność narodu, chodzi o to aby uzyskać alibi dla swego istnienia. Dawid zostaje zabity. Młody wólczo-ga, niezdolny, średni poeta, który poświęcił się całkowicie pijanstwu, dawny „prymus” w szkole, który urodził się bogaty, szanowany, nieprzeciętnie zdolny, ambitny, „Otoczali mnie bez przerwy niedorzeczną troskliwością” — powie o rodzicach.

Szkoda, że autorem tej książki nie jest Polak. Ech, ta nasza młoda proza...

*) Juan Goytisolo, „Popołudnia trędowatych”, tłumaczyła Maria Sten, „Czytelnik” 1959.

Pełna gala, przecucie dokumentu. Jest opera, która się żęgo wydarzenia, świąteczny wawrze podoba. „Wina” to linostroj Potem okłaski dla dyrygenta i dziwnie dobrze do tego wszystkiego dopasowana uwertura „Cyrulika Sewilskiego”. Tak rozpoczęła się uroczysta, jubileuszowa premiera zamykająca pierwsze pięćdziesiąt lat istnienia Opery Łódzkiej.

W ciągu pięciu lat czternaście premier, 770 spektakli, które oglądało około pół miliona widzów! „Halka”, „Rigoleto”, „Straszny dwór”, „Traviata”. Pięć lat pełnej sukcesów pracy, pracy w warunkach najniekorzystniejszych. Bez własnej sceny bez własnej orkiestry, nawet bez sali do prób. Rzeczy to ogólnie znane i powtarzane do znudzenia — powiemy je jeszcze raz, uprzytomnijmy sobie ogrom trudu i wysiłku, świętej cierpliwości!

Wiele kwiatów na scenie — za mało. Wiele depech — za mało i szkoda, że prze-ważnie miejscowe. Dekoracje — jedna smutna: poświęcenie odznaczony został jeden z twórców Opery prof.

Władysław Raczkowski Krzyżem Komandorskim. Złotymi Krzyżami Zasługi — Weronika Kuźmińska i Romuald Spychalski, Srebrnym — Igor Mikulina. I znów — za mało. Ale czekajmy cierpliwie na następny jubileusz.

„Cyrulik Sewilski” od 144 lat grany na scenach świata, jest operą, o której wypisano już morze atrakcyjnych scenach.

„CYRULIK” na jubileusz

liką” nie przerywanego okłaskami. Tym razem było ich bardzo wiele. A na zakończenie prawdziwa owacja. Bo też łódzka inscenizacja „Cyrulika Sewilskiego” jest bezsprzecznie dużym sukcesem.

Rzecz dzieje się w dekoracjach Władysława Daszewskiego. Zbyt często widuje się na scenach oper ciężkie, sztampowe, „operowe” w najgorszym tego słowa znaczeniu dekoracje, aby nie chwalić dzieła Daszewskiego. Dekoracje są lekkie, utrzymane w ciepłych, pastelowych kolorach — i doskonale harmonizują z lekkością i humorem opery.

Rzecz dzieje się w dużym temple, sceny są bardzo do-brze i malowniczo ustawione — to już zastuga Ewy Bonackiej — reżysera.

Rzecz dzieje się muzycznie.

Dyrygował i opracował ją muzycznie Władysław Ormicki. Potknięcia i drobne niezgodności między orkiestrą a śpiewakami przypisujemy premierowej tremie. Orkiestra tym razem miała czyste, pełne, symfoniczne niemal brzmienie, a to tak rzadko spotyka się na na-

łódzkim „Cyruliku” pokazano nam dwie konwencje. Jedną to właśnie szarża wpływająca częściowo (ale tylko częściowo) z groteskowo narysowanych przez autora libretta postaci scenicznych. Druga — to demonstrowanie ładnego uśmiechu, sprężystości i młodości. Z dwojga złego, skoro już nie może być inaczej, wolę to drugie. Wyjście może łatwiejsze, ale bezpretensjonalne.

Zacznę od Igora Mikulina w roli Basilla. Wydaje mi się, że ciągle go nie doceniamy. Jest chyba najlepszym aktorem Łódzkiej Opery. Nie tylko dobrym aktorem, jest znakomitym śpiewakiem. Tworzy postać nieodparcie komiczną, oszczędnie operując środkami aktorskiego wyrazu. Należą mu się duże okłaski za „arię o płocie” z pierwszego aktu.

Romuald Spychalski, Janina Hamernik i Stanisław Heimberger demonstrują właśnie uśmiech i młodość. Młodość dojrzałą już artystycznie. Spychalski w roli hrabiego Almagiva — to przede wszystkim piękny, potężny głos. Pisało się o nim wiele, dodać trzeba tylko z przyjemnością, że Spychalski należy do tych młodych śpiewaków, którzy nie zakończyli swojej drogi artystycznego rozwoju.

Janina Hamernik śpiewa Rozynę. I ona dysponuje silnym, dobrze wyszkolonym głosem. Jaka szkoda, że tylko śpiewa!

W roli tytułowej — Stanisław Heimberger. Mam pewien żal do tego na pewno dobrego śpiewaka, że nie mógł opanować tremy. Bo właśnie chyba trema pozabawiła arię Figara z I aktu lotności i blasku. Dalej było już coraz lepiej, aż do bardzo dobrego końca.

Stanisław Michański i Maria Narkiewicz w rolach dra Bartola i Marceliny należą do tej pierwszej grupy śpiewaków, o których mówiłem powyżej. I znów to samo: piękne głosy! Nie spotykana zupełnie konstatacja pięknych głosów! I znów — szkoda, że tylko cztery, pięć gestów uniwersalnych, dostosowanych do wszelkich sytuacji.

Czego życzyć dostojnej a młodej jubilatce? Oczywiście wielu dobrych premier, oczywiście własnej sali, oczywiście wdzięcznej publiczności. I wielu jeszcze jubileuszów.

Autor zaś niniejszego zupełnie prywatnie wzdycha o „Fausta” Gounoda z gościnnie występującym w roli Mefista Bernardem Ladyszem. Oby jeszcze w najbliższym pięćdziesięciu.

*) Opera Łódzka, G. Rossini, „Cyrulik Sewilski”. Inszenizacja i reżyseria: Ewa Bonacka, kierownictwo muzyczne: Władysław Ormicki, scenografia: Władysław Daszewski. Premiera 11. I. 1960.



Janina Hamernik, Stanisław Heimberger i Romuald Spychalski w „Cyruliku”

Człowiek z głową jastrzębia

Nareszcie on. On tam, on w obłokach,
Pierzasta błyskawica! To prokonsul ptaków,

Doctor communis, brud pod paznokciami,
Człowiek z głową jastrzębia. Twoja wielka wina.

A ty przepiórka jesteś. Ja jestem gołębiem.
O gniazdo lektor! O ziczenie raj!

Zakiełkowało białko! Eksplozja eksplozji!
Gawoń piskliwych żądzy! Skorupka prysnęła!

Ten był porządek. Porządku nie było.
Narodzeni w listowiu, w listowiu zniknęli.

Porządek w oku wróbla i w krwiobieg pawia.
Narodzeni w płomieniu, w płomieniu zniknęli.

Przepiórka byłaś. Dialekty niewinne.
Skrwawione pierze dzieci. To po nas zostało.

A on tam, on w obłokach. Doctor angelicus,
Sprawca przepiórek i przepiórek łowca.

Człowiek z głową jastrzębia, prokonsul idei,
Triumf metafizyki, nareszcie, nareszcie.

Nad gawołem, kokluszem, pawiami Platona.
Nad trzepotem, świergotem, wróblami Tomasza.



Małżonkowie

To były zaślubiny w czas czerwonych pogód.
To były zaślubiny pod piskliwą gwiazdą,
To były zaślubiny cyfry i płomienia.

Trąbki i werble. wrzask metafizyczny,
Cały dzień przetaczali młodzi małżonkowie
W pałacu kategorii, na liściu zielonym.

Skrzypce i klarnet, świergoty logiki,
Noc mił-sną przespałi, poślubiłi sobie,
W komnatach składni, na pościeli echa.

Tak szczęśliwe małżeństwo. Gniazdo swe uwill.
W pestce jabłoni i w krwiobieg czasu,
W kropli żywicy i w rdzeniu przyczyny.

Tak zimowali On, bytu magister,
Dzikich pszczoł papież i spowiednik głosek;
Ona wykluta z pszczoły, spółgłoska skrzydlata.

Skłóconych elementów mistyczny iloczyn.
Nie spotkał się nigdy. On w literze gamma,
A ona w śpiewie płaka była pogrzebana.

Komentarz do bajki

Gdzie są mali podróżnicy?
Gdzie ich serca? Echo niesie
Trzepot, świergot czarownicy
W zabaw i poziomie lesie.
Tak przez czyścić gryp i płaczu
Na ruszt raju ktoś z nas wkracza.

Potem płomyk gryzie kości
I obraca w popiół wina;
Słychać szepty niewinności
Po zstrzyku insuliny;
A już wieku piękna wiara
W las następną wiedzie parę.

Tańczy domek. Rozłączeni
Małe serca rzeźbą w drzewie,
Wyżej świergot schizofrenii;
Jak wyjść z lasu, nikt z nas nie wie.
Zginą mali podróżnicy,
Czas jest kotem czarownicy.

Z tomu wierszy „Człowiek z głową jastrzębia”, który ma się ukazać nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



Najdziwniejsza rebelia XX wieku

nach Kempsey siedział na przeciwko Massu w jego gabinecie. — „Pana kłopoty w dniu dzisiejszym?” — rzucił Ulrich Kempsey, pytanie na rybkę. W miarę, jak Massu odpowiadał na pytanie, zdumienie Kempseyego było coraz większe. Dwadzieścia cztery wiersze wywiadu, Massu oświadczył, że armia popełniła błąd wysuwając generała de Gaulle'a na dzisiejsze stanowisko. On sam nigdy nie przypuszczał, że de Gaulle stanie się „człowiekiem lewicy”.

Od tej chwili wypadki zaczęły się rozwijać, jak w sensacyjnym filmie. General Massu zostaje odwołany do Paryża. Staje przed Trybunałem Wojskowym? Nie. Francja to dziwny kraj. General Massu tylko mętnie wyjaśnia swoje postępowanie i nie wraca już do Algieru. Po trzech dniach przyjmuje go premier Francji. Tymczasem w Algierze napięcie wzrasta z minuty na minutę. W centrum miasta stają barykady. Na nich uzbójcy po zęby członkowie oddziałów terytorialnych i no prostu cywile — algierscy Francuzi obwieszani naszyjnikiem z granatów. Rozgorączkowany tłum przelewa się przez algierskie ulice. Cywi-

le, spadochroniarze, dziewczęta z trójkolorowymi kokardkami na piersiach

Z balkonów krzyczą mówcy. Faszyzowski student Lagallarde, właściciel kawiarni Ortis, dr Lefevr. Po ulicach krążą pożyczone przez armię samochody z głośnikami. Okrzyki „De Gaulle na szubienicę!” porywają tłumy.

Dochodzi do starcia między tzw. ultrasami a zandarmierią. Pada 25 zabitych i 150 rannych. Na grobach zondarmów i ultrasów jednakowo napisy: „Polegli za francuską Algierię”. Armia zachowuje neutralność. Nie jest z językiem u warg. Na armię francuską w Algierze patrzają wszyscy. Ultras, algierscy muzułmanie, ludność metropolii, prezydent de Gaulle z Palacu Elizejskiego. Armia nie chce strzelać do rebeliantów, ale armia ich nie poparła mimo wyraźnej sympatii do rebeliantów znacznej części korpusu oficerskiego.

LICYTACJA NA TEMAT PATRYOTYZMU

Od pięciu lat toczy się w Algierii wojna. Algierscy muzułmanie pół milionem ofiar,

morzem krwi i nieszczęścię dokumentują swą wolę zdobycia niepodległości. Milion algierskich Francuzów wraz z armią francuską walczy o francuską Algierię. Kolonialistę francuskiego mówią: Algier jest naszą ojczyzną. Tu urodziliśmy się. Algier musi być takim samym departamentem Francji jak Departament Sekwany. Ultras twierdzą, że są największymi patriotami, ale ich algierskie domy, winnice i posiadłości przesłaniają im wszystkich. Muzułmanie mówią: Nie jesteśmy Francuzami. Milion Francuzów w Algierze — to problem. Ale jakim prawem w drugiej połowie XX wieku odmawiacie nam prawa do niepodległości. Niepodległość o trzymają nawet półdzikie plemina w Togo i Kamerunie.

Prezydent de Gaulle mówi: Przed Algierem stoja trzy możliwości: pełna integracja Algieru z Francją, osobowość Algieru w ramach Unii Francuskiej i wreszcie pełna suwerenność Algieru. O przyszłości Algieru muszą zdecydować sami Algierscy. Referendum musi się odbyć w warunkach pokoju. Droga do pokoju prowadzi przez zło-

nie broni przez powstańców. De Gaulle wierzy, że Algier pozostanie przy Francji, ale de Gaulle rozpaczliwie szuka rozmówcy w Algierze, porozumienia z kilku milionami muzułmanów, z których reprezentacją mógłby rozmawiać przy okrągłym stole, a nie tylko językiem karabinów maszynowych. De Gaulle patrzy dalej niż ultras rozumie więcej niż on. Faszyzm jest zawsze krótkowzrostny i zaslepiony.

PALAC ELIZEJSKI W DNIACH GROZY

W poniedziałek 25 stycznia do Palacu przyniesiono worek listów. Wszystkie listy pletniują de Gaulle'a, popierają ultrasów. De Gaulle jest przybity i zniechęcony. We wtorek, w środę, w czwartek pod Pałac Elizejski podjeżdżają ciężarówki pocztowe pełne listów. Sto tysięcy, trzysta tysięcy, pół miliona listów, ponierających de Gaulle'a wyrażających mu swoje sympatie i nakłaniających do stanowczości wobec ultrasów. Jeden z ministrów oświadczył: „De Gaulle stoi mocno jak skały Gibraltaru”. Udzielił mu poparcia znaczna część francuskiego mieszc-

zaństwa. Zadowolona ze stabilności francuskich rządów, udzieliła mu pełnego poparcia francuska lewica, łącznie z partią komunistyczną. Lewica rozumie, że od V Republiki nie ma dziś powrotu do liberalno-demokratycznej IV Republiki, ale że musiałaby po niej przyjść VI Republika rządzona przez triumfującą koalencję.

General de Gaulle wygłasza w czwartek orędzie do narodu i armii. Potwierdza swe dotychczasowe stanowisko w sprawie Algieru. Wzywa armię do posłuszeństwa. Wokół rebeliantów zacienia się kordon wiernej prezydentowi XXV Dywizji Spadochroniarzy. Rządziej słyszy się język niemiecki na algierskich ulicach, X Dywizja została wycofana na przedmieścia.

PROBA SIL CZY OSTRZEZENIE?

Rebelię ultrasów nazywa się próbą siły. Jest to ponieważ prawda. Liczyli oni na poparcie armii. Liczyli na ustąpienie de Gaulle'a, liczyli na rozbięcie gabinetu. Przeliczyli się. Przeliczył się tłum smar-

kaczy gardzących przed słowem gubernatora „De Gaulle na szubienicę”. Smarkacze są po to, żeby krzyżować. Politycy moudawcy smarkacze i sfaszyzowanego tłum nie liczyli chyba, że runie de Gaulle i V Republika. Oni rebelię traktują jako ostrzeżenie wobec de Gaulle'a.

W ciągu całego 1959 roku de Gaulle działał w oparciu o zdecydowaną większość prawicy. Dziś przywódcę wielkiej partii francuskiej prawicy „Niezależnych” Finay wycofał się z rządu. George Bidault — przywódca katolickiej MRP wystąpił przeciwko de Gaulle'owi. Francuska prawica jest rozbita. Tworzy już nowe konfiguracje. Lewica popiera de Gaulle'a ale nie na długo.

Rebelia zostanie chyba zdlawiona. Prezydent de Gaulle nadal będzie mówił i marzył o wielkości Francji. Powstańcy algierscy będą nadal walczyć, ultrasi — nadal wódzić swe domy i winnice. Każdy zostanie przez swoim. Wielkość Francji natomiast jest niepodzielna. Co dalej? Co czeka Francję? Nie odpowiem na to pytanie. Nie tylko ja nie wiem.

JACEK LEBEN

* W chwili oddawania numeru do druku prasa podała, że bunt ultrasów został zakończony.



LONGIN PASTUSIAK

Moje odkrycie Ameryki

Czy mogę być prezydentem USA

Stany Zjednoczone są bardzo ciekawym i złożonym pod wieloma względami krajem. Każdy dzieńnikarz przejeżdża do USA na ogół już z pewną koncepcją o „nowym świecie”. Naturalnie również i ja wyjechałem z „polską koncepcją o Ameryce”. Gdy jednak przyjrzel się do-kładniej życiu po tamtej stronie Atlantyku, nabiera się lepszego i głębszego zrozumienia problemów, które tylko pobieżnie znane są czytelnikowi polskiemu. Broń Boże, nie zamierzam oddrywać Ameryki. Krzysztof Kolumb wywiatał się z tego zadania dostatecznie dobrze, ale chciałbym, aby czytelnik podróżował ze mną przez kontynent amerykański od Atlantyku do Pacyfiku.

W podróży tej odwiedziły uniwersytet. Dzięki Zachod, zajrzemy do rezerwuów, indiańskich i do kościoła Mormonów. Naturalnie musimy odbywać się, skorzystamy więc z usług kuchni amerykańskiej. Przejazdkę po USA zakończymy odwiedzinami w największym studio filmowym Ameryki w Metro Goldwyn Mayer w Hollywood.

Amerika żyje sprawami aktualnymi i pierwszą rzeczą, która uderza każdego, kto wstąpi na ziemię amerykańską, jest atmosfera zbliżających się wyborów prezydenckich.

— Kto będzie kandydował z ramienia Partii Demokratycznej na prezydenta USA?

— Czy przynależność religijna Kennedy'ego (katolik) może wpłynąć ujemnie na jego szanse wyborcze?

— Czy wiceprezydent Nixon znajdzie poparcie związków zawodowych?

Te i setki innych pytań zadają Amerykanie nie tylko sobie, ale i cudzoziemcom. Wprowadza mnie to niekiedy w zakłopotanie, gdy ktoś ze znajomych z niecierpliwością oczekuje ode mnie prawidłowej odpowiedzi na pytanie: czy fakt, że żona senatora Kennedy'ego jest przystojną (na prawdę) może wpłynąć ujemnie na jego szanse, gdyż pozabaw go głosów zazdrosnych kobiet? (senator Kennedy jest również młody i bardzo przystojny).

Wprost nie sposób tu nie zauważyć wzrastającej z dnia na dzień atmosfery wyborczej. Mimo, że dopiero za pół roku obie partie Demokratyczna i Republikańska mianują swoich kandydatów i wyborcy amerykańscy dopiero w listopadzie br. zdecydują, którego z kandydatów obdarzyć zaufaniem, spekulacje i przypuszczenia na giełdzie politycznej Ameryki; rozwijają się już bardzo szybko,

Nie pamiętam przyjęcia, na którym po kilku łkach cocktailu nie zaczynano by rozważać szans poszczególnych kandydatów. Czytelnicy nasi również nie gorzej orientują się w nazwiskach potencjalnych kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Warto by się jednak zastanowić nad tematem ogólniejszym, kto może i nie może być zaszczycony najwyższym urzędem USA. Amerykanie bardzo interesują się tym i wielu z moich znajomych przedstawiając się żartobliwie dodaje „potencjalny kandydat na prezydenta”. Oznacza to, że dana osoba odpowiada ogólnym wymogom stawianym kandydatom na zamieszkanie w Białym Domu. Jakże to są wymagania i ile osób je posiada, postaram się niżej zestawić.

Z ogólnej liczby 180 milionów mieszkańców Stanów Zjednoczonych, 70 milionów zdaje egzamin z wymagań, które stawia Konstytucja USA. To znaczy są to obywatele urodzeni na terytorium Stajów, mają powyżej 35 lat, i zamieszkują w Ameryce w ciągu minimum 14 lat. Jeżeli ktoś przeszedł „na czysto” o-wyższy egzamin, nie należy zbytnio się cieszyć, ponieważ nie oznacza to nic ponad to, że dany obywatel może uzyskać nominację jednej z dwu wielkich partii. Takich obywateli jest około 70 milionów w USA.

Oczywiście, uzyskać nominację na kandydata na prezydenta jest bardzo trudno. Żadna z partii nie mianuje „pierwszego lepszego”. Partia Demokratyczna czy Republikańska wybierają „najlepszego” spośród tych, którzy odpowiadają ogólnym wymogom. Oznacza to, że ilość kandydatów automatycznie ogranicza się.

Według ogólnej oceny, spośród 70 milionów, którzy prawnie kwalifikują się, 60 milionów automatycznie odpada. Są to kobiety, obywatele kolorowi, Żydzi, ludzie powyżej 65 lat oraz cierpiący na różne choroby. Tak więc tylko 10 milionów Amerykanów jest teoretycznie zdolnych do przyjęcia nominacji. Są to mężczyźni, białej rasy, w wieku 35—65 lat i cieszący się ogólnie dobrą zdrowiem.

Każdą rodziną stara się mieć kogoś w tej grupie 10 milionów. Pamiętam taki drobny fakt: znajomi, młoda para małżeńska, wybrał się w czasie ostatniego lata do Europy w celu odwiedzenia rodziny. Żona znajomego w tym czasie urodziła synka w Europie. Kilka tygodni temu szczęśliwi ro-

dzice powrócili do Stanów i naturalnie wydalili przyjęcie. Wszyscy życzyliby dumnym rodzicom, aby syn ich dostąpił zaszczytu zasiadania w Białym Domu. W tym momencie ktoś zauważył, że niesety dziecko urzędzone jest poza terytorium Stanów Zjednoczonych i w związku z tym nigdy nie będzie mogło być prezydentem USA. Uwaga była słuszną i żartobliwa, wywołała jednak poważny efekt. Rodzice spoważniali, posmutniali i do dziś ubolewają nad tym „przeoczeniem”. Pocięszam ich, że do czasu kiedy syn dorosnie może się już przysiąc jakąś poprawkę do Konstytucji.

Liczba 10 milionów jest dość wysoka i tu należałoby przeprowadzić pewną selekcję. Według Sidney Hyma, długoletniego badacza politycznych problemów Ameryki, istnieje szereg zasad, którymi kierują się partie polityczne przy wybieraniu „jednego spośród 10 milionów”.

Po pierwsze zasada politycznego talentu. Kandydat na prezydenta powinien mieć doświadczenie w pracy politycznej. Może to być urząd stanowy, pozycja w parlamencie, w rządzie czy w wojskowości. Tylko dwa razy w historii Stanów Zjednoczonych zdarzyło się, że kandydaci na prezydenta nie mieli żadnego doświadczenia w pracy rządowej. W 1872 roku Horace Greeley, redaktor „New York Herald Tribune”, kandydował z ramienia Partii Liberalnej i Demokratycznej oraz w r. 1940 republikanie mianowali swoim kandydatem Wendell Willkiego z zawodu prawnika. W obu wypadkach kandydaci ci przegrali wybory.

Spśród wielu urzędów państwowych najwygodniejszym wydaje się być urząd gubernatora stanu. Wiele przyczyn składa się na to, że łatwiej jest uzyskać nominację będąc gubernatorem. Ale najważniejsze jest to, że gubernator to właściwie prezydent mniejszego terytorium. Doświadczenie nauczyło Amerykanów, że dobry gubernator jest w dużym stopniu gwarancją dobrego prezydenta. Tacy prezydenci jak Woodrow Wilson, Franklin D. Roosevelt, Calvin Coolidge byli dobrymi i popularnymi gubernatorami.

Lista dotychczasowych 33

(Dokończenie na str. 10)



„KOLUSZKOWSKIE” sklepy

(Dokończenie ze str. 3)

dociągami i kanalizacją, z elektrownią i gazownią, z sanepidem, strażą ogniową i dziesiątkiem innych jeszcze. Obok tego istnieje w Warszawie Instytut Handlowy trudniący się produkcją odpowiednich normatywów, których trzeba konsekwentnie przestrzegać. Szukając porównań można



JERZY PANAŃSEWICZ

„Albercie, powstrzymaj rękę, niechże polin żyje życiem polipa, a stokrotka życiem stokrotki. Zarodek zapuszcza korzenie ssie soki, przynosi cudownie odziedziczone właściwości do komórek, które stwarzają człowieka, wyekskała na nim piętno ludzkości... „Lecz ty jesteś katem, ja także — wiem o tym, Mordujesz bez sądu, skazujesz na zatracenie bezbrojnego człowieka, rwiesz na strzępy nadzieje... „Gdyby nawet ten człowiek miał być ostatnim nędzarzem, całe życie trwał w biedzie, w imię jednego chociażby jasnego promyka w tym życiu zabijać go nie mam prawa”... Nie, ten histeryczny krzyk nie wyszedł spod pióra ascety w czarnej sutannie, nie ukazał się w piśmie ukłmym w ściany nietym wiernym w drzwiach kościoła. Cytaty pochodzą z książki wydanej nie tak dawno przez „Iskry” i to z książki wchodzącej do cyklu powieści kryminalno-sensacyjnych... Pod parą niesamowicie błyszczących oczu widnieje na okładce wdziczny tytuł — „Noc była moim sądzia”. Autor — Valja Styblova, Przekład z czeskiego. I przynależało, że ta rzeczyna, cikliwa, niechlujna i bardzo obskuranccka książka jest na swój sposób majstersztykiem, znakomitym wypracowaniem na zadany temat, Podziw błą-

śmiało powiedzieć, że modernizacja w handlu jest to człowiek silnie przymocowany powrozami do słupa, któremu każe się tańczyć. Założmy jednak, że w końcu jest dokumentacja z zastosowaniem odpowiednich normatywów i są uzgodnienia a tu okazuje się, że ściany i stropy w starym budynku nie wytrzymały statyczności, przewody komińowe i wentylacyjne są nieodpowiednie. I w ogóle cały budynek wymaga nowych zmian konstrukcyjnych. Wtedy wszystko trzeba zaczynać a'capo.

VI.

Wymagania współczesnego handlu są zupełnie inne niż przed wojną, kiedy prywatny właściciel miał małe sklepi, przy nim wystawę, podręczny magazyn i już mógł handlować. Szczególnie duże wymagania stawiane są na przykład w gastronomii. Dawniej część handlowa wynosiła 2/3, a produkcyjna 1/3 wszystkich pomieszczeń lokalu, dziś proporcje są odwrotne. Według obecnych przepisów musi być oddzielne pomieszczenie do zmywania naczyń, dwa magazyny na produkty suche, jarzyny i kiszonkę, oddzielne pomieszczenie na opał, biuro kierownika, muszą

być zainstalowane odłuszczeniaki, ażeby nie niszczyć kanalizacji miejskiej, poza tym droga inwestycji trzeba zabezpieczyć warunki sanitarne i przeciwpożarowe i w końcu pod uwagę bierze się również momenty estetyczne lokalu.

VII.

A teraz spojrzmy jak przedstawia się tzw. „wykonawstwo”. Przedsiębiorstwa wykonujące roboty dla handlu pracują na tych samych stawkach, co w budownictwie mieszkaniowym. Budownictwo mieszkaniowe jest surowe, natomiast budownictwo w handlu wymaga umiejętności, kosmetycznych i w związku z tym wysokich kwalifikacji pracowników. Tymczasem jest odwrotnie, remontowe i budowlane przedsiębiorstwa handlowe narzekają na ciągły odływ dobrych fachowców do innych przedsiębiorstw. W tej sytuacji architektura wnętrza jest tandetna i bardzo licha. Kto był w „Słoni” przyzna mi zupełną rację. Jednocześnie obok niskiego poziomu fachowców brak jest współpracy i koordynacji w przedsiębiorstwach między poszczególnymi brygadami. Po murarach przychodzą zwykle tzw. brygady

VIII.

Koszt modernizacji inwestycji handlowych w 1959 roku wynosił dla Łodzi 30 milionów złotych. Ażeby sobie uświadomić, czy to mało czy dużo podam, że usprzętowanie restauracji na 100 miejsc kosztuje pół miliona złotych. Na rok 1960 planuje się budowę jednej piekarni o mocy produkcyjnej 32 tony na dobę oraz kilka „lilip-

IX.

Do 1965 roku wybudowanych zostanie w Łodzi 7 dużych obiektów handlowych, w tym trzy domy towarowe i cztery bary szybkiej obsługi, w których rotacja będzie ośmiokrotnie większa niż w „Rekordzie”. Bary będą dwukondygnacyjne z kawiarniami na piętrach. Do końca pięcioletki wy-

Wydawnictwa „Iskier” przedziwna wyprawa krzyżowa

rze, gdy patrzymy na listą przebiegłość, z jaką zabiera się autorka do dzieła, z jaką weszły, kluczy i zaciera tropy. Bynajmniej nie ma ochoty atakować wręcz. Mierzył ją sam zabieg, sama idea dopuszczalności sztucznych poronień ale zanim się do niej dobierze, skonstruuje sytuację dramatyczną silnie działającą na czytelnika, a bohaterem obwoła człowieka co najmniej miękkiego i pełnego wahan. Będzie starała się później skompromitować go wraz z współnikami, ponieważ wie, że skompromitować bohatera często znaczy tyle, co skompromitować idee. A więc sytuacja — noc po nieudanym zabiegu przerwana ciążą. Bohater — Janek młody student medycyny. Ofiara — jego siostra. „Ja i strach... Nigdy już nie potrafię się go wyzwyc. A strach ten wywołał nie tylko fakt, że zabiłem moją siostrę, Stankę. Obudziła go dopiero decyzja, że będę bronił się przed odpowiedzialnością”. Zwolna rusza wstecz maszyna wspomnień. Pierwsza rozmowa z Albertem, wysunięta przez koleję propozycja wspólnego przeprowadzania zabiegów. I zaraz potem mimochodem przemyciona uwaga: „Trafiają się i sprawy bytowe: brak pieniędzy, by pozwolił sobie na jeszcze jedno

dziecko. Takich jest niewiele. Zreszta ja nie bardzo im wierzę, bo przecież skrobanka też przecież sporo kosztuje. Jesliby naprawdę chcieli mieć dziecko, to dziś nie jest problem”. Jak ten Albert zna życie — myśli Janek. Wysuwają jakiegoś obiekta, ale słyszysz w odpowiedzi: „Gdzie ciąża może podkopać zdrowie, tam usunięcie jest konieczne. Względnie społeczne — tu jest szerokie pole do interpretacji. Wszystko zależy od tego, jaką decyzję powziąć w poszczególnych przypadkach. Tu decyduje zdanie lekarzy. I względy eugeniczne: choroby weneryczne, alkohol, dziedziczne obciążenie chorobą umysłową. Ja bym do tego dodał jeszcze dziecięcy egoizm, który boi się ofiar. Nie chcesz rodzic, to nie ródź, niech zginie to przeklecie pokolenie”. Mocno powiedziane! Dwa demagogiczne chwytliwy na przesłuchaniu trzech stron i to oba włożone w usta studenta medycyny, wprawdzie w oświadczanie prawa winnego nielegalnego dokonywania zabiegów, ale przecież rzecznika samej zasady. Włożone w usta człowieka inteligentnego i chłodnego zdolnego do takiego na przykład porównania: „Nie przeczę, że to, co z dniem każdym rozwija się w macicy, to życie. Ale to życie polipa, albo powiedzmy roz-

wijającego się kwiatu... Macieja to gleba, urodzajna ziemia, na której coś zaczyna kiełkować. Jeżeli to jest dla ciała niewygodne — wyrwywamy chwast. Ale jeżeli ciało pragnie kiełkując żyć i zachować — wówczas będziemy kwiat pielęgnować”. Warto przypomnieć, że metafora ta zostanie nieco później uroczyście a właściwie histerycznie odwołana. W międzyczasie będziemy jednak mieli pierwszą skrobankę, a nazajutrz: „Przechodziłem koło kościoła — przypadkiem drzwi były otwarte. Bez jakichś specjalnych intencji wszedłem i skierowałem się do bocznej ołtarza. (...) Stałem zmieszany rozglądając się po ołtarzach i rzeźbach. Aż nagle zaczęło się... Jakby mi ktoś z tyłu podszepnął: — Włoż tam jeden banknot!” Janek już czuje wyrzut sumienia. Być może trapi go fakt, że dokonuje zabiegów nielegalnie i bez odpowiedniego klinicznego przygotowania, ale ten moment nie budzi szczególnego zainteresowania autorki. Woli sugerować, że bohater stara się odkupić winy i przekupić swój los — przekupić bezskutecznie. Aby wzmocnić uogólnienie, sięga do Alberta. Oto zgłasza się do niego posługaczka hotelowa będąca już w piątym miesiącu ciąży i to z naznaczonym sobie męż-

czynną. Niechętnie dokonują zabiegu, aby usłyszeć: „Ale moim największym marzeniem zawsze było — dziecko. To nie moja wina, że się dziś rozplakałam: tak mi było źle. I ciągle miałam nadzieję, że już nikt nie zgodzi się mi je odebrać... „Tego samego dnia Albert z pieniędzmi posługaczki kupi obecemu, umorusanemu chłodnicynie drogą halajnogę. A siostra bohatera, Stanka, znajduje się w ciąży, i to nie z mężem, choć nie zechce się przyznać z kim. Po czym poprosi brata — jej pokój od dawna służy zresztą za gabinet zabiegowy — aby ciężą tę przerwał. Zanim jednak nadsięgnie katastrofa, autorka wymierzy ostatnie uderzenie. Jedną z pacjentek — „bardzo piękną pani domu z uniwersyteckim wykształceniem” o której dowiadujemy się, że „była dobrane zorientowana, znała wszystkie narzędzia, jakich mielibyśmy użyć, weale się nie bała” — dostaje krwotoku. Wezwany doświadczony lekarz usuwa jakies pozostałości i wyzwa Janka na rozmowę: „Znałem także i twoją matkę, Janku (...) Była w odmiennym stanie zaledwie od kilku tygodni. Przyszłszy prosiła, bym ciężą usunął, płakała nawet, groziła, że jeśli odmówię, zwróci się do kogoś innego. Prosił także ojedec, namawiali mnie oboje. Lecz ja byłem nieublagany...”

eliminowane zostaną również „koluszowskie” sklepiki (za przeproszeniem mieszkańców Koluszek), a podstawową formą sprzedaży będzie samoobsługa i preselekcja. Gdyby tak jeszcze opakowania plastikowe zdobyły sobie prawo obywatelstwa w polskim handlu, wówczas nie tylko chodzić i kupować, kupować, kupować... I gdyby jeszcze w tym niemal milionowym i sławnym w świecie mieście PSS założyła nocny sklep z artykułami spożywczymi i w dodatku z dostarczaniem do domów, a MHD zorganizował chociaż jedno stoisko sklepowe czynne do godziny 22, ażeby młody człowiek wybierający się do cłoci na imieniny, gdy zauważy że ma brudną koszulę mógł w ostatniej chwili podskoczyć i zaopatrzyć się w nową, śnieżnej białoci. Sądzę, że wprowadzenie tych nader skromnych postulatów w życie będzie nie mniejszym wkładem naszych handlowców w europeizację Łodzi, co jej pomalowanie przez architektów. Zaś całkowitym już ukoronowaniem tych handlowych przeobrażeń byłoby ustawowe usunięcie krat z wystaw sklepowych chociażby na odcinku pomalowanej Piotrkowskiej.

X.

Mam niepełną nadzieję, że i z biegiem czasu zmienię się również nasza nie zawsze sprawliwa ocena pracowników handlu. Dotychczas między klientem a sprzedawcą brak jest zaufania. Klient w sprzedawcy widzi swego nieprzyjaciela, a ten z kolei widzi w kliencie intruza. Pracownicy handlu nie cieszą się jeszcze, niestety, pełnym zaufaniem kupujących. Atmosfera towarzysząca zakupom jest u nas zwykle pełna nerwowego napięcia i łatwo wyładowuje się w ostrych i na wysokim tonie prowadzonych polemikach, gdzie podstawowym argumentem jest moc strun głosowych. A należy pamiętać, że na kulturę handlu obok wysokiej jakości towaru, estetycznych opakowań i uśmiechu sprzedawcy składa się również postawa kupujących. Właśnie nowe formy sprzedaży wymagają od klienta więcej taktu, szacunku dla pracy sprzedawcy i większej uczciwości. Są to sprawy i rzeczy bardzo pospolite, ale warto o nich pamiętać nawet wtedy, gdy kupujemy „Odblasy” w kiosku, pomarańcze w „Delikatessach” czy samochód w „Motocyble”. KAROL BADZIAK

Władystaw Rymkiewicz ROMANS KROLEWSKI

Powieść historyczna

VI.

Streszczenie

Akcja „Romansu królewskiego” rozgrywa się w XVII wieku. Polska znajduje się w ogniu wojny z kozacką i w przededniu rokoszu magnatów. Tymczasem król Jan Kazimierz zabawia się romansem z żoną podkanclerzego Radziejowskiego. Pani Radziejowska odwiedza króla w przeddzień bitwy pod Beresteczkiem, by donieść mu o wymianie listów między podkanclerzym a królową Marią-Ludwiką.

Jan Kazimierz spoglądał z niechęcią na bladą i zmęczoną z niewyspania twarz podkanclerzyny, rozkręcone łoki, potargane jasne włosy wymykające się spod koronkowego zawoju. — Waćpani przyjechała po to, żeby mnie ostrzec?

Elżbieta Radziejowska zmużyła filuternie oczy. — Nie taję, że bałam się sama zostać w pałacu. — Po obu stronach ust ukazały się figlarnie dołki. — Waszmość wie, jak u nas nudno! A ja lubię ruch, życie, jak na królewskim dworze albo jak w obozie! Gwar, zgiełk, ile ludzi — tyle spraw!

— Ile ludzi, tyle żądał — Jan Kazimierz replikował zgryźliwie. I mrużąc imperytencko oczy powtórzył: — Waćpani przyjechała po to, żeby mnie ostrzec?

— Toż mówiłam...

— Waćpani przyjechała, żeby mnie upokorzyć. Żeby nasycić oczy widokiem moich męczarni, mojego upokorzenia. Tak. Tak. Niech waćpani nie zaprzecza. — Jan Kazimierz mówił prędko, niewyraźnie, słowa przechodziły w belkot. — Waćpani wie, jaką torturą dla mnie urażona ambicja! A pomimo to! Ale może i nie wie o tym waćpani, boś na to za głupia! Ile cierpi człowiek, gdy sam sobie nie dowierza. A cóż dopiero, gdy inni jeszcze szczypią go, klują, ranią! Wiedząc o tym waćpani przywozi mi takie nowiny, od których serce może pęknąć. Żeby się napaść moim wstydem! O, ja nie wiem, czyś waćpani przypadkiem nie zrobiła tego w porozumieniu z zacnym małżonkiem? — król zachichotał i przyglądał się podkanclerzynie podejrzliwie. — Żeby dobić Każkojana! Waćpani już pewnie pogodziłaś się z panem Radziejowskim i zażywasz z nim uciech małżeńskich — sycała. — O, pan Radziejowski to musi być mąż mocny jak tur! — Jan Kazimierz tupał obcasem w deskę podtrzymującą siedzisko i chrząkał: — Kurwa! Kurwa!

W rogu pudła siedziała wciśnięta głęboko w kącie podkanclerzyna owinięta od stóp do głowy gronostajowym ormantem i papuzimi jedwabiami, z głową omotaną szalem, który przytrzymała obiema rękami przy twarzy, cała zasłonięta jak panna młoda w welonach i nieruchoma jak kokon.

Oczy króla zaszyły mgłą znużenia.

Ktoś zastukał trzykrotnie alarmująco w drzwiczki.

Opadła z pleców na dno pudła sobolową ferezję król podniósł jak lach, wziął z siedziska rękawice i kapelusz, i wlokąc po ziemi sobile i karmazyny wysiadł z karety.

Wspinali się w milczeniu po zbocz. Pękaly z trzaskiem kruche gałki chrustu i szyszek pod podszewami ciężkich rajtarskich butów. Mocniej zapachniało borówką, torfem, żywicą. Gwizdały ptaki. Wesolo belkotała Huczwa.

Król potknął się o korne. Hiacynt Rylski podbiegł. Jan Kazimierz sarknął: — Nie trzeba. Waćpan może odejść.

— Nie opuszczę miłościwego pana aż pod samym obozem. Taki mam rozkaz od pani podkanclerzyny — pieczołowicie zaręczał obowiązkowy porucznik.

Jan Kazimierz zebrał fałdy sutej ferezji i odsunął się nieco, jakby w obawie, że mógłby się otrzeć o natręta.

— Rozkazuję waćpanu odejść! — król podciągnął szpadę i oddalił się stawiając z parsa nogi w rajtarskich butach grzęznących w miłkim piasku.

Przetykane lasem włócznie zaśnieżonych w ziemię i sterzących pod niebem na podobieństwo wierzchołków bezlistnych drzew zwisły niby płachty suszące się na sznurach cwelech, wojski, skóry i płótna pawilonów, nieruchome w blasku słonecznej, czerwcowej, bezwietrznej pogody.

W namiocie srebrny kozak pomógł królowi ułożyć się do snu, okrył pieczołowicie swego pana wojskową derą.

— Obudzisz mnie o dziewiątej — Jan Kazimierz ziewnął i przyłożył głowę do poduszki.

Obudził króla czyjś głos i szarpnięcie za ramię. Nad wezgłowiem pochylała się szeroka twarz Butlera z ciemnym przyszczyżonym wąsem. Spotniałe oblicze zdradzało ślady emocji i zmęczenia pośpieszną jazdą.

— Coś powiedział?

— Miłościwy panie, królowa odjeżdża spod Beresteczka?

Jan Kazimierz zrzucił derę, usiadł na posłaniu.

— Przed karczmą widziałem kolebki i skarbeczyki, gotowe do drogi.

— Każ mi siodłać konia.

W obozie wrzało od porannej krzątaniny. Zwijano namioty. Płaty oklapłego cwelechu, płótna i skór leżały na ziemi. Żołnierze i ciury krzatali się dokoła zaprzęgów i wierzchowców.

Król za obozem polecał konia ostrogą. Ruszyli z Butlerem klusa. Biała kita trzęsła się na kapeluszu króla. — Rozmawiałeś z królową?

— Najjaśniejsza pani obrażona z powodu przyjazdu podkanclerzyny.

— Gadają całą prawdę — król wyrzucał słowa w rytm pędzącego cwałem wierzchowca. — Co więcej?

— Zapytywała, czy to prawda — tęten rozrywał i

zadeptywał sylaby — że król spędził noc u podkanclerzyny? — podkomorzy błysnął złowrogo żółtawymi oczami. — I że cały obóz patrzył na to?

Jan Kazimierz ukłukł konia ostrogą. Cisawy poderwał się i o dwie długości wysunął się przed Butlerowego siwka.

Osadził konia na końcu wsi Zawady przed karczmą z obszernym podcieniem na drewnianych słupach i bramą na przestrzał. Żyd karczmarz uprzątał grabiami śmiecie, gnój i słomę przed zajazdem. Na widok panów zerwał kuczmę z głowy i obserwował z niepokojem wiel mózów starając się odgadnąć ich zamiary.

Przed jeźdźcami rozciągała się faliście wypukło-wklęsła płaszczyna uprawnych pól, ocienionych na widnokręgu smugami popielatych obłoków. Świetlisty opar migotał nad łąkami żółtych zbóż, wśród których wił się kręty szlak ciemnobrowej drogi. Na drodze poruszała się kawalkada wozów, bryk, kolas, czarny wąż pojazdów, osnutych białymi tumanami pyłu wzbijającego się spod kół.

— Z Bogiem! — tonem złośliwego zadowolenia i ulgi pożegnał Jan Kazimierz oddalający się i ginący z oczu poczet dworski królowej. — Zły to, francuski, nie polski obyczaj towarzyszenia przez małżonki królom na plac boju. — Z ironicznym uśmiechem obserwował zanikającą w obłokach kurzu i mgłęce oddalenia wężownicę pojazdów. — Butler, od dzisiaj będzie waszmość co dzień...

Cisawy wierzchowiec króla potrząsnął łbem i zarżał. Jan Kazimierz ściągnął cugle. — Będziesz waszmość co dzień sprawdzał poczet obozowy.

Koń obrócił się zadem do siwka, na którym siedział Butler, zakręcił się, pochylił łeb i zaczął grzebać ziemię kopytem.

— Chcę znać każdy list podkanclerzego do królowej — Jan Kazimierz skraciał i szarpał nerwowo lejce wierzchowca.

Butler ujrzał chudą, mizerną z niewyspania twarz króla i zło, płonące pod skrajem czarnego kapelusza oczy.

ROZDZIAŁ V.

— Rotmistrz pana kancleza Leszczyńskiego stojąc z Węgrami na straży miał widzieć w obłokach Boga Wszchemogącego na złotym tronie — opowiadał Gabrys Zapartek, usnact podkomorzego Butlera, czyszcząc ceplanym proszkiem karabele swego pana. — U stopni tronu stać miał nasz król jego mość w szmelcowanej zbroi, w złotej koronie i z obnażonym mieczem. — Zapartek poruszył energicznie głową odrzucając z czoła konopiasłowosłą czuprynę. — Dwaj aniołowie trzymali nad królem niebieską wstęgę z napisem ułożonym ze złoczystych liter.

Zapartek zająknął się, ręka ze szmatką znieruchomiła na środku klingi.

— Salvator mundi czyli Zbawca świata — Butler pomógł słudze.

Do namiotu wszedł pokojowiec królewski Tyzenhauz. — Służba! — powitał oberzsztera, podszedł energicznie do stołu i położył na deskach skrypt zalakowany czerwonymi pieczęciami — Masz waszmość o co prosiłeś.

Butler wziął list, obrócił powoli w rękach jakby wa-

udają śmiertelnie poważnych, przez co tym bardziej są śmieszni. Fil — wyjął cienkie wargi.

Stał na wprost siebie jak dwaj wrogowie, którzy tylko patrzeć, porwą się do szabel.

— A waszmość mi nawet nie podziękował.

Butler przygryzł wargę. — Król jegomość podziękuje waćpanu — mruknął gburowato i wyszedł przed namiot.

Zapartek przytrzymał wierzchowca. Wiatr niósł tumanu kurzu.

Środek płóciennego grodu tworzyły dworskie szopy, drewniane kancelarie ministrów i baraki wojsk kwarcianych. W przejściach i alejach między namiotami tłoczyły się masy pieszych i jezdnych, kurierów, szlachty, straży, czeladzi obozowej, ciurów i pastuchów.

Wierzchowiec z trudem to rował sobie drogę w ciżbie. Dokoła bud, szalaszów i straganów zbierało się mrowie pospólstwa i żołnierzy, two-

proportami skrzył się słońcu iskrami błyskającymi na wyostzonych grodach.

Król rozłamał pieczęcie, rozwinął list i zaczął czytać. Wiatr zagał i szarpał brzegi pergaminu.

W klębach wzbijanego kopytami kurzu, unoszonego przez wichurę, przesuwająca się masa ludzi i koni jak rozwijany bez końca welonany kobieriec polski, tkany w samoswoje kolory ojczystego kraju.

Jan Kazimierz polecał cisawego wierzchowca ostrogą i ruszył z powrotem w kierunku obozu. Za królem podążała rozciągnięta kawalkada senatorów, generałów, dworzan.

Przed namiotem Jana Kazimierza powiewała majestatycznie nadwórna chorągiew królewska z turkusowego jedwabiu, z haftowanymi po jednej stronie żół-



ząc jego zawartość i powiedział: — Gabrys, siodłać konia.

Zapartek odstawił karabele, wypadł z namiotu, a raczej rzucił się do wyjścia, jakby za opóźnienie miał należyć głowę.

Tyzenhauz zaczął chichotać kpiąco, z szelmowskim zadowoleniem, z obraźliwym szyderstwem.

— Waszmość śmieje się z czego?

Pokojowiec królewski podszedł blisko do oberzsztera i powiedział z przesadnie dwornym ugrzeczniem: — Z grobowej miny waszmości. — Wykonał rewersans. — I z pana Radziejowskiego, który pisze do królowej skargi na jej małżonka. — Ukłon. — I z króla, który wykradł cudze listy do jego żony. — Znow ukłon. — I z tego całego blaźństwa, w którym dorośli ludzie zachowują się jak dzieci, chociaż

zących zbiegowisko, wrzawę, zgiełk.

Za obozem, na łąkach, odbywał się przegląd wojska.

Butler ukłukł konia ostrogą i pokłusował na wzgórze, gdzie łopotała na wietrze amarantowa chorągiew z haftowanymi złotem herbami Korony i Litwy. Jan Kazimierz na cisawym wierzchowcu na czele konnego orszaku hełmanów, wojewodów i generałów odbierał defiladę wojskową.

Król odwrócił głowę. — Co przywozisz?

Butler wręczył królowi list.

Przeszły dworskie wojska pancerne królewskie z rozwiniętymi chorągiewami malinowej barwy ze złotym haftem i frędzlami. Rucho-

my las kopii z ogniasłymi tym krzyżem i Madonną z Dzieciątkiem oraz napisem Sub Tuo Praesidio, zaś po drugiej — z białym krzyżem i herbami Wazów.

— Powiesz kanclerzowi, marszałkowi i Czarnieckiemu żeby przyszedli do mnie do namiotu — powiedział Jan Kazimierz półgłosem do Butlera. — Waszmość również będziesz obecny przy tej rozmowie.

Srebrny kozak podbiegł przytrzymał strzemień i pomoc królowi zsiąść z konia.

Kanclerz biskup Jędrzej Leszczyński wszedł pierwszy za królem do namiotu.

(d. c. n.)

Podróż udreńców



Działo się to w czasach, kiedy na ulicach Warszawy pasły się jeszcze krowy, wyskubywały one mlecz i były wysoko na półtora metra u stóp słupów tramwajowych, podziurawionych kulami jak rzeszoto albo jak kto woli durszłak. Ściany kamienne były ogolone z odrzwii i futryn i, zdawało się jeszcze gorące od tlejącego w piwnicach ognia; na Pradze przy ulicy Wileńskiej członkowie Rządu urzędowali szcękając z zimna; co chwilę wyskakiwali do przedpokoi albo nawet do kłozetów, aby rozgrzać krew przy pomocy szwedzkiej gimnastyki...

Pamiętam z tych czasów Mieczysława Drobniera syna Bolesława. Wtedy Mieczysław był zielony z zimna, co chwilę przeproszał klientów departamentu muzycznego kłapiąc zębami jak turoń, gdyż musi na chwilę opuścić pokój, aby zrobić kilkadziesiąt przysiadów dla rozgrzewki... Pamiętam podróż z tym człowiekiem samochodem z Warszawy do Łodzi, uwieńczoną dwugodzinnym posuwaniem wózu z Pragi do mostu na Wiśle i ukoronowaną odpadnięciem koła, przymusowym nocowaniem u pisa-



rza Mariana Ruth-Buczkońskiego, brata autora „Czarnego Potoku” i „Wertepów” Leopolda, i przekuwaniem koła u... kowala na Żoliborzu.

Bo nie tak to łatwo podróżowało się wtedy, jak dzisiaj, w epoce wystrzałów międzyplanetarnych, samochodów turbiniowych, latających kamizielek i aerocykli.

Podróż z Krakowa do Łodzi, pociągiem powinna była trwać najwyżej siedem godzin, a trwała osiemnaście z okładem... Podróż powrotną, samochodem ciężarowym, powinna trwać najwyżej pięć godzin, a trwała czternaście z okładką.

Do Łodzi jechało się wagonem służbowym po okazaniu jakiegokolwiek papieru, byle z pieczątką, do Krakowa można było wracać bez żadnego papierka... Służbowo jechało się w towarzystwie niezliczonej ilości mleczarek, obuczonych tobołami i kociakami z krzyżącym droblem i krzywim serem, nie służbowo wracało się Willysam albo „Doczkami” Polskich Linii Lotniczych „Lot”, w towarzystwie wózków z lódzką manufakturą i ludzi o twarzach wymiętych jak worki po wyjęciu z nich manufaktury.

Aby wyjechać samochodem „Lotu” o godzinie pierwszej w południe, nie musiało się przychodzić na miejsce postoju, a więc na chodnik przy „Aleja Kościuski”, konieczność o godzinie szóstej rano jakby się musiało przyjść dzisiaj w takich wypadkach... Wystarczyło przyjść na „peron” o godzinie drugiej. Jeśli była się człowiekiem barczystym, umiało się ładnie przeklinać, znało się tajniki psychologii ludzkiej to wyjeżdżało się z Łodzi chociażby z oderwanym kołnierzem. Auto ma-

jące wyjechać o godzinie pierwszej, nigdy nie opuszczało swego stanowiska przed godziną trzecią lub czwartą... Czas pomiędzy momentem urzędowego odjazdu a faktycznym wypełnieniem rozwożenia ładunków z prywatnym towarem...

Skoro więc auto porozwodziło wszystkie prywatne towary do odpowiednich mebli i wróciło na stałe na miejsce właściwego postoju, wówczas z bramy domu, którego się była miejscem przeróżnych konszachców i kasą równocześnie, wychodziło dwu konduktorów i starano się nakłonić część pasażerów do zwrotu biletów.

To namawianie nigdy nie trwało krócej niż pół godziny. Tymczasem ze wszystkich zakątków Łodzi nadszły nowe tłumy złańskich podróży pasażerów, wdzierały się ze wszystkich stron na wierzch auta, otaczały się szaniami z waliżek; jedni zatrzymywali się w połowie wdzierania słuchając wołań z odległych okien i balkonów, drudzy nakładając do opuszczenia wozu, nie opuszczali go z takim wyrazem zaciętości, jak musiła mieć buzia gwałconej w biały dzień Lukrecji; potem pewna zrozpaczona część pasażerów chciała przechodzić przez budkę szofera w tę i tamą stronę, jeszcze jedna część zaczynała w okolicach podwozia, wskakiwała na miejsca opróżnione przez część pierwotną, a więc tę, co przyjechała na Kościuszki prosto z garażu i została zwleczona na jezdnię przez „konduktorów” część pierwotną chwytając się szat części wtórnej, zaczynała się wspinać z powrotem na szczyt wozu i auto odjeżdżało rycząc żałośnie i zataczając się po Piotrkowskiej jak pijane.

Pamiętam jedną taką podróż. Jechałem wtedy pomiędzy rozłożystymi piecami pewnej damy, chwalcę się, że jej mąż został konsulem, i posiadającej na lewej łopacie guzik a bezką benzyny, na której siedziało prawie tyle samo ludzi, ile mogłoby się zmieścić na szczycie biblijnej góry Ararat w czasie zdecydowanego odpływu wód.

Osoby te posiadały trudną do zapamiętania ilość odnóży. Jestem przekonany, że nikt z tych ludzi nie wiedział, która noga do kogo należy.

Mimo to ściśnienie znaczna część mego ciała wstawała ponad wyładowane do obłędu auto, a równocześnie mniejszą część ciała mój w masie cielesnej tkwiła w przeróżnych częściach ciał mych współtowarzyszy podróży.

To rozmieszczenie masy bądź co bądź trójwymiarowej w przestrzeni prawdopodobnie też trójwymiarowej było równie niedorzeczne, co zawarcie, dajmy na to, trzech centymetrów kubicznych w jednym centymetrze kubicznym, ale kierownik auta, a więc upychacz ładunku, będący autorem tej niedorzeczności dawał sobie radę z wszelkimi trudnościami pojęciowymi bez pomocy logiki i matematyki.

Pamiętam tę chwilę, za rogatkami, gdzieś na dziesiątym kilometrze, gdy auto przebrnęło przez wszystkie ariergardy przedmieść: rozmyślałem wtedy nad niedorzecznościami życia mając przed oczyma, w mięśniach i zgniczonych płucach owa oczywista niedorzeczność za-



MORDERCA — MEDIUM

Niecodzienny problem muszę rozstrzygnąć sędziwie zebrani w Strasburgu na piętnastej sesji Europejskiego Komitetu Praw Człowieka. Czy możliwe jest zabójstwo pod wpływem hipnozy?

Początek sprawy sięga roku 1951. Pewnego marcowego dnia młody człowiek w granatowym berecie dokonał napadu na „Landsmands bank” w Kopenhadze. Uciekając z łupem pozostawił za sobą dwa trupy — kasjera i dyrektora banku. Wkrótce został ujęty i z miejsca przyznał się do winy. Oświadczył, że działał w pełni świadomości i z własnej inicjatywy, a pieniądze były mu potrzebne, ponieważ zbierał fundusz na założenie w Danii partii politycznej.

Przy dokładniejszym badaniu okazało się, że morderca — Pelle Hardrup, z zawodu mechanik — jest człowiekiem umysłowo niedorozwiniętym. Okoliczności zbrodni i jej rzekome motyw wydały się sędziemu śledczemu podejrzane. Osobnik o tak prymitywnej mentalności nie mógł wszystkiego obmyślić z podobną precyzją. Wówczas żona Hardrupa zeznała, że mąż jej był bezwolnym narzędziem w ręku hipnotyzera, niejakiego Nielsen.

Ow Schouw Nielson od razu wybronił się z zarzutów doskonałym alibi. Wykryło się jednak, że jego konto w policyjnych archiwach jest poważnie obciążone. Równocześnie wykryły się jego po-

wiązania z Hardrupem.

Obaj siedzieli razem w więzieniu za współpracę z Niemcami. W celi młodzieniec posłusznie usługiwał Nielsenowi, a niekiedy hipnotyzator używał go jako medium. Podobno wprowadzał go również w tajniki swej sztuki.

Po zwolnieniu w 1949 roku utrzymywali nadal kontakty. Hardrup oddawał Nielsenowi wszystkie pieniądze, nawet zarobki żony. W rok po zwolnieniu przekazał hipnotyzerowi 21 tysięcy koron, całą zdobycz z napadu na bank. Był to jego pierwszy wyczyn, drugi zakończył się tragicznie.

Po piętnastu miesiącach obserwacji wybitny duński psychiatra orzekł, że Hardrup jest rzeczywiście człowiekiem niespełna rozumu i pozbawionym woli. Działał w transie pod wpływem narzuconego impulsu. Właściwym mordercą jest jego rozkazodawca.

Na tej podstawie sąd skazał Hardrupa na dożywotnie zamknięcie w szpitalu dla umysłowo chorych, a Nielsen na dożywotnie więzienie. W werdykcie sąd uzasadniał że Nielsen przy pomocy różnych środków nacisku, włączając w to hipnozę, przymusił inną osobę do popełnienia napadu z bronią w ręku oraz zabójstwa.

W grudniu 1955 roku Hardrup niespodziewanie odwołał poprzednie zeznania i oświadczył, że grał przez ca-



ły czas komedię. Adwokat Nielsen zarządził rewizję procesu. Jednakże duński sąd najwyższy skargę oddalił.

Po latach Nielsen, który przymusowo wolny czas wykorzystywał na opisanie swej historii w książce powtórnie odwołał się do sprawiedliwości. W piśmie adresowanym do Komitetu Praw Człowieka w Strasburgu zarządził swym oskarżycielom

pogwałcenie praw człowieka.

Prawnicy oczekują z zainteresowaniem decyzji Komitetu. Nie chodzi już bowiem o konkretny fakt i ewentualną rewizję przewodu sądowego. Chodzi o odpowiedź na pytanie zasadnicze, Czy możliwe jest zabójstwo pod wpływem hipnozy?

W/g „Soir Illustré” opracował K. J.

(Dokończenie na str. 7)

kandydatów USA wykazuje, że kandydaci pochodzą na ogół z dużych stanów. Np. 6 kandydatów pochodziło ze Stanu Nowy Jork, 3 z Ohio itd. Od roku 1900 z dwoma wyjątkami żaden z kandydatów na prezydenta USA nie pochodził z małego obszaru stanu.

Również obywatele stanów południowych od czasu uzyskania nominacji. Jednakże w ciągu ostatnich lat skądś przetrwał i osiadł w południu stanu wojny domowej 1861 roku USA jest bardzo konserwatywny i politycy z tego regionu są nie do przyjęcia dla przemysłowej północy.

Ponieważ prezydent USA jest nie tylko szefem rządu, ale i głową państwa, powinien on być również idealną głową rodziny. Wyborca amerykański, jak przekałem się z rozmów z wielu Amerykanami, będzie głosował tylko na tego kandydata, który jest wzorowym mężem i ojcem. Do niedawna jeszcze rozwodnik nie miał absolutnie szansy rozwodu w USA stały się tak powszechne, że trudno uważać, aby zaszkodziło to np. Adlai Stevensonowi, który będąc rozwiedzionym dwukrotnie kandydował na prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej.

Kandydaci z małych miasteczek mają więcej szans aniżeli mieszkańcy wielkich przemysłowych miast. W ciągu całej historii nominacji prezydenckich tylko

Czy mogą być prezydentem USA

Al Smith, który kandydował w 1928 r. pochodził z wielkiego miasta Źródłem tego jest to, jak mówią mi koleżdy amerykańscy, że przeliczany Amerykanin identyfikuje duże miasta z wielką falą emigrantów, którzy właściwie uczynili owe miasta wielkimi. Przy ogólnej istniejącym uprzedzeniu w stosunku do emigrantów w USA, czynnik ten wydaje się być zrozumiałym.

Logicznie z tym ostatnim związany jest problem pochodzenia narodowościowego ewentualnych kandydatów na prezydenta. Kandydaci pochodzenia angielskiego mają najwięcej szans. Spośród 33 osób, które były prezydentami USA, 28 jest pochodzenia angielskiego, 3 holenderskiego, 1 szwajcarsko-niemieckiego i 1 szwajcarskiego. W miarę postępującego asymilowania się różnych grup narodowościowych, nie jest wykluczone, że wnukowie emigrantów z Polski, Włoch czy krajów skandynawskich będą ubiegać się o najwyższy urząd Ameryki.

Mimo, że Konstytucja USA nie stawia żadnych wymagań kandydatom od-

strony wierzeń religijnych, praktycznie nie zdarzyło się jeszcze nigdy, aby prezydent USA był innej wiary niż protestanckiej.

Gdy zastосуemy ściśle wszystkie powyższe wymagania stawiane kandydatom na prezydenta Ameryki, okaże się, że tylko 5 osób kwalifikuje się: po stronie Partii Demokratycznej — gubernator stanu New Jersey Meyner oraz Adlai E. Stevenson. Po stronie Partii Republikańskiej — Thomas E. Dewey, wiceprezydent Nixon oraz gubernator Stanu New York Nelson Rockefeller.

Warto tu dodać, że najważniejszą obecnie kandydatką Partii Demokratycznej, senatorowie — John Kennedy, Hubert Humphrey, Stuart Symington oraz Lyndon Johnson nie odpowiadają wszystkim przytoczonym wyżej wymaganiom.

Naturalnie musimy pamiętać, że do tego wszystkiego wymagane jest poparcie wielkiego kapitału. Komu „big business” odmówi pomocy finansowej, ten z góry skazany jest na przegraną. Oczywiście, wielcy przemysłowcy, którzy o tym decydują, zawsze odnajdą poparcia tym, którzy mogą okazać się zbyt samodzielnymi, zbyt liberalnymi i ewentualnie zagrozić władzy dolara.

LONGIN PASTUSIAK

* Jak wiadomo, prezydent Eisenhower nie może kandydować, ponieważ sprawował ten urząd przez dwie kadencje rządowe. (red.)



ROZMOWY Z ZESPOŁAMI „Rytm”

Zespół ten ma między innymi na swym koncie trzy filmy z Anatolem, „Ostatni strzał” Rybkowskiego, „Wolne mięso” Różewicza, „Zmowy zmierzch” oraz „Zobaczymy się w niedzielę” Stanisława Lenartowicza.

Sześć produkcji — Zygmunta Szyndlera zapytuje o filmy realizowane w tej chwili i o plany na najbliższy rok.

— W końcowym stadium produkcji — mówi pan Szyndler — znajduje się teraz „Miejsce na ziemi” — film reżyserii Stanisława Różewicza wg scenariusza Tadeusza Różewicza i Kornela Filipowicza, poruszający problematykę młodzie-

żową. Warto dodać, że akcja filmu rozgrywa się w Łodzi, a w roli głównej wystąpi Stefan Friedman — znany z popularnego cyklu radiowego „Małysiaków” jako Genek. „Miejsce na ziemi” skończymy prawdopodobnie w marcu.

Jeśli chodzi o plany, to są one dość obszerne. Do produkcji już skierowaliśmy „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, reżyserować ją



Stefan Friedman w filmie „Miejsce na ziemi”

będą: Jerzy Szeski i Konrad Paradowski; w roli Marysi wystąpi Małgosia Piekarska znana z „Awantury o Basie”.

W tym roku ponadto chcemy koniecznie, ze względu na ważką problematykę ideową scenariusza, zrealizować film Jana Rybkowskiego i Leona Kruczkowskiego — „Dziś w nocy umrze miasto”. Akcja tego filmu rozgrywać się będzie w ciągu jednej nocy, podczas bombardowania Drezna.

Poza tym scenariusze piszą dla nas: Tadeusz Różewicz — komedie, Barea z

Jurandotem — komedie sportową „Mąż swojej żony”, oraz Stanisław Lenartowicz — „Leśniczówkę”.

Muszę powiedzieć, że mamy także już kilka scenariuszy gotowych: „Dymek z papierosa” Andrzeja Nowickiego i Jerzego Gruzy, a przede wszystkim — „Czy tu mieszka ogrodnik” (tytuł roboczy) Krzysztofa T. Toeplitza. Będzie to film o znanej akcji Gwardii Ludowej w czasie wojny, związanej z napadem na Kasę Oszczędności w Warszawie.

Rozmawiał
T. ZKW.

EKRANIK

FRANCUZI NIE LUBIĄ starych filmów! Jak wykazały ostatnio opublikowane statystyki — aż 77 proc. wpływów kasowych przypada na pierwszy rok eksploatacji filmu. W drugim roku wyświetlania film przynosi zaledwie 15 proc. dochodu, w trzecim — 6 proc., w czwartym — zaledwie 2 proc. Oczywiście, im film starszy — tym niższe ceny biletów, ale i tak powyższe zestawienie jest dosyć wymowne.

NARESZCIE W TYM ROKU zobaczymy w Polsce filmy Walta Disney'a. Przedstawicielom CWF udało się dogadać z Amerykaninami i zakupiono kilka jego filmów. Obok pełnometrażowych kreskówek wyświetlane będą w Polsce przyrodnicze filmy Disney'a — w których ostatnio specjalizuje się jego wytwórnia.



JERZY PASSENDORFER wznawia przerwane jesienią zdjęcia do filmu „Powrót” według scenariusza Romana Bratnego. Następnym filmem Passendorfera będzie komedia historyczna „7 zacych grzechów głównych”, adaptacja popularnej książki Tadeusza Kwiatkowskiego.

BARDOZO PRZYCHYLNIE przyjęty został w Paryżu radziecki film dokumentalny „Śpiewa Yves Montand” — relacja z pobytu i występów świetnego piosenkarza w ZSRR.

ZNOW TARZAN na ekranie! Tym razem w nieśmiertelnej roli władcy dżungli występuje posagowo zbudowany Gordon Scott. Nowy film amerykański ma tytuł „Największa przygoda Tarzana”, nakręcony został w kolorze na szeroki ekran — i pokazuje między innymi scenę walki Tarzana z krokodylem.

Donald

MARIE FRANCE BOYER

Od „Adrii” do „Gdyni”

Oto otrzymaliśmy niedawno sprawozdanie z działalności kina studyjnego („Adrii” — obecnie „Gdyni”), które sprawiło nam niemało satysfakcji. Jak się okazuje, kino to definitywnie utwierdziło swoje obywatelstwo — nie tyle przez dość niewymierne pojęcie „pożyteczności”, ile konkretnym językiem liczb. Przez dziesięć miesięcy istnienia wskaźnik frekwencji wyniósł w kinie studyjnym aż 75% (przeciętna łódzka — ok. 60%), dodajmy — przy repertuarze całkowicie powtórkowym i „trudnym”.

Co dalej z kinem studyjnym? O tym też mówiło się na konferencji, zwołanej przez OZK. Najważniejszym planowanym novum ma być rozszerzenie repertuaru kina o pulę tytułów, specjalnie zakupionych dla dyskusyjnych klubów filmowych. Wspomniano m. in. takie po zycze, jak „Hiroshima — moja miłość”, „Kuzyn Serge”, „Ghetto Teresin” itd. Razem — 25 tytułów, które wyświetlane będą poza normalnym systemem eksploatacji. Niektóre pozycje są już opracowane i przekazywane klubom.

A więc... Niestety, w kinie studyjnym nie zobaczymy tak prędko tych filmów. Jako że zawsze się muszą znaleźć jakieś trudności, warszawski Zarząd Federacji Klubów zastrzegł ponoć przekazanie filmów kinom studyjnym dopiero po zgraniu ich w klubach. Zgoda, ale poczekajcie...

Swoją drogą, wesoła sytuacja. CWF nie daje filmów telewizji, Federacja Klubów — kinom studyjnym. Gdy czterech się klóci — kto krzysia?

J. W.

ŁÓDZCY aportowy FILMOWI



ALEKSANDER FOGIEL

— Jak przebiegała Pańska dotychczasowa praca w teatrze i filmie? — pytam na wstępie pana Aleksandra Fogla.

— Grać zacząłem w wieku lat 16. Było to w amatorskim teatrze szkolnym w Warszawie. W tym czasie od był się mój skromny filmowy debiut w filmie „Z dnia na dzień” z Brodzińskim w roli głównej. Potem była praca w Teatrze Objazdowym Podlasia, grałem w Wilnie, Grodnie, Siedlcach. Wreszcie w Teatrze II Armii Wojska Polskiego. Po za-

kończeniu wojny grałem w teatrach Wrocławia, Poznania, Częstochowy i Szczecina. Teraz przyszła kolej na Łódź. Poważniejszą pracą filmową rozpocząłem rolę Apostoła w „Bazie ludzi umarłych” reżyserii Petelskich, następnym filmem był „Krzyż walecznych” reż. K. Kutza, grałem rolę kaprala w noweli pt. „Pies”. Pracę z reż. Kutzem bardzo sobie cenię. Jest to reżyser odkrywca, świetnie prowadzący aktora na planie. Niedawno skończyłem pracę nad jedną z ról w nowym fil-

mie Kutza „Nikt nie wola”. Grałem ponadto teksówkacza w filmie Lenartowicza „Zobaczymy się w niedzielę”.

— A ostatnio?

— Reżyser Ford powierzył mi rolę Maćka z Bogdańca w „Krzyżakach”. Z roli tej jak i pracy pod kierunkiem Aleksandra Forda jestem bardzo zadowolony.

— Jak układa się Pana współpraca z Teatrem Powszechnym w Łodzi?

— Doskonale. Jak wiadomo rozpocząłem ją od wykonania jednej z głównych ról w „Błękitnym patrolu”. Jeżeli chodzi o Łódź — miasto wydaje mi się bardzo ciekawe. Gotów byłbym w Łodzi zatrzymać się na stałe.

— Czy coś stoi na przeszkodzie do zrealizowania tego zamiaru?

— Brak mieszkania. Wraz z żoną i synkiem mieszkam od lipca ub. roku w Grand Hotelu. Rozumie Pan, że są to warunki nieodpowiednie dla rodziny.

— Życzymy Panu jak najszybszego zlikwidowania wspomnianych kłopotów, jak również dalszych kreacji aktorskich w teatrze i filmie.

Rozm. A. Nieśmiałek

„H-8...”

„H-8...” jest początkiem numeru rejestracyjnego samochodu osobowego którego kierowca w kwietniu 1957 roku spowodował tragiczny w skutkach wypadek autokaru i ciężarów. Konstrukcja dramatyczna tego filmu zrealizowanego przez reżysera Nicolę Tanhofera odbiega od powszechnie przyjętego schematu. Reżyser w ekspozycji filmu daje po prostu krótkie dokumentalne (choć inscenizowane) streszczenie przyczyny i skutków wypadku na szosie Zagrzeb — Belgrad. Jest to w dużym stopniu ryzyko — widzowie zostają zorientowani w całości, znają koniec opowieści. Okazuje się, że po tym zaskakującym dokumentalnym streszczeniu realizatorzy filmu bardzo zręcznie budują studium charakterów poszczególnych pasażerów autokaru i szofera zbliżającej się do ciężarówki. O każdej z postaci w tym filmie możemy coś powiedzieć po wysłuchaniu kina, rysunek psychologiczny każdego z pasażerów pechowego autokaru jest umiejętnie zróżnicowany. Ta indywidualna charakterystyka jest bardzo dobrze wiązana narracją reżysera.

Forma tego filmu, ograniczenie miejsca akcji prawie tylko do wnętrza autokaru i szoferki ciężarówki, wreszcie niebanalne nocne zdjęcie świadczą jak najlepiej o młodych filmowcach Jugosławii. Nie bez znaczenia jest wyróżnienie tego filmu nagrodą za reżyserie na Festiwalu w Pułku w r. 1958.

A. Nieśmiałek



PASCALLE PETIT